

ADAM-TROY CASTRO

żałobny marsz Marionetek

Przełożył Michał Jakuszewski

1. Gdy nastał trzeci rok mojej kontraktowej służby, uratowałem Isadorę ze śmiertelnego tańca Marionetek.

Zdarzyło się to na Vlhanie, świecie o umiarkowanym klimacie, pozbawionym strategicznego znaczenia zarówno dla Terrańskiej Konfederacji, jak i dla wielkich, pozaświatowych republik. Owa niewyróżniająca się niczym szczególnym planeta obfitowała w łagodne, pofałdowane wzgórza i bagniste niziny. Różnice między porami roku były tu tak niewielkie, że nikt nawet nie zauważał, gdy nadchodziła ich zmiana. Świat ten w zasadzie nie odbiegał od miliona innych, rozsianych po znanym wszechświecie. Z pewnością po zaznaczeniu na mapach opuszczono by go i zapomniano o nim, gdyby nie sami Vlhanianie, którzy w niczym nie przypominali żadnego z innych rozumnych gatunków. Swe placówki badawcze utrzymywało tu aż siedem różnych republik i konfederacji. Ponieważ Vlhanian uznano za istoty rozumne, nazywano je ambasadami, nie stacjami naukowymi, a ich pracownicy byli uważani za dyplomatów, a nie za uczonych, niemniej jednak to, czym się zajmowaliśmy, nie miało niemal nic wspólnego ze sprawami państwowymi. Mieliśmy tak mało realnej władzy, że wizja autentycznego dyplomatycznego incydentu - nie wspominając już o wojnie - wydawała się nam czymś rodem z odległej galaktyki.

Nazywałem się wówczas Alex Gordon. Byłem dwudziestodwuletnim specjalistą od obcych języków, urodzonym i wychowanym w sztucznym świecie znanym jako Nowe Kansas, młodym mołem książkowym, który uparcie marzył o tym, że kiedyś odwiedzi prawdziwe Kansas, nawet gdy już się dowiedział, od jak dawna nie nadaje się ono do zamieszkania. Podobnie jak trzydziestu kilku innych pracowników kontraktowych, którzy tworzyli resztę naszej ekipy, zgodziłem się odsłużyć pięć lat w zamian za dożywotnie prawo swobodnego podróżowania po Konfederacji, potem jednak tajemnice Vlhanian zafascynowały mnie tak bardzo, że poważnie zastanawiałem się nad tym, czy nie poświęcić życia na poszukiwania choreograficznego kamienia z Rosetty, który pozwoliłby nam wreszcie zrozumieć ich tańce. To właśnie Balet, odbywający się co szesnaście standardowych okresów lunarnych, przyciągał do nich uwagę tysiąca światów. Był to jednocześnie tragedią, formą artystycznej ekspresji, masowym samobójstwem, orgazmem, biologicznym imperatywem i zbiorowym obłędem. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, byłem wstrząśnięty, za drugim razem płakałem, a za trzecim...

O trzecim mówi ta opowieść.

Trzeci należał do Isadory.

2. Dzień był ciepły, słoneczny i niemal bezwietrzny. Ustawiliśmy górującą nad wielkim, naturalnym amfiteatrem trybunę i zainstalowaliśmy zdalne holokamery i neurotransmitery, które miały zapisać przebieg uroczystości. Jak zwykle, zgromadziliśmy się na północnej krawędzi niecki, natomiast vlhańscy widzowie zajęli południowy brzeg. Siedziałem w grupce ludzkich i obcych dyplomatów, razem z ambasadorem Hai Dhiju i odsługującymi kontrakt kolegami. Była tam Kathy Ng, jak zwykle sypiąca ironicznymi uwagami na wszelkie możliwe tematy, nasza kwatermistrz Rory Metcalf, która powtarzała plotki, mówiła o polityce, literaturze i o wszystkim oprócz mającego się za chwilę zacząć widowiska, oraz lizusowaty zastępca Dhiju, Oskar Levine, który snuł cikliwe spekulacje na temat znaczenia tańca. Wszystkich nas ekscytowała myśl o magii, której świadkami mieliśmy się stać, lecz czuliśmy się również znudzeni, co często zdarza się widzom na kilka minut przed rozpoczęciem przedstawienia. wymienialiśmy szeptem pogłoski, mówiliśmy o polityce albo powtarzaliśmy sobie najnowsze wieści ze swych światów i tylko nieliczni zastanawiali się nad tym, że sto tysięcy zgromadzonych w niecce Vlhanian ma za chwilę umrzeć.

Jednym z tych, którzy o tym myśleli, był Hurr'r'poth, mój odpowiednik z Riirgańskiej delegacji, jeden z najlepszych specjalistów od obcych języków w swoim gadzim gatunku, który chełpił się znakomitymi ekspertami w tej dziedzinie. Zwykle wolał zasiadać wśród członków innych delegacji zamiast ograniczać się do towarzystwa pobratymców. W tym roku postanowił zająć miejsce obok mnie, co znacznie ograniczyło moje możliwości rozmowy z kimkolwiek innym. Tak jak wszyscy Riirgaanie miał pozbawione wyrazu oblicze, z którego nie sposób było cokolwiek wyczytać. Być może właśnie dlatego w ich gatunku musiały się wykształcić tak nadzwyczajne

Castro Adam-Troy - Zalobny marsz Marionetek(txt)

umiejętności werbalnej komunikacji.

- Wszyscy jesteście zbrodniarzami - oznajmił nagle Riirgaanin.

Nie wiedziałem, jak na to zareagować.

- Dlaczego? Dlatego, że tu siedzimy i pozwalamy na to?

- Bynajmniej. Vlhianie odprawiają ten rytuał, gdyż uważają, że muszą to robić. Gdybyśmy im w tym przeszkadzili, byłby to akt straszliwej arogancji. Słusznie czynimy, pozwalając im na tę orgię samozniszczenia, a zbrodniarzami jesteśmy dlatego, że znajdujemy w tym piękno, że z niecierpliwością oczekujemy dnia, w którym zgromadzą się tu, by zginąć. Nie jesteśmy niewinnymi widzami, lecz współnikami.

- I pornografami - dodałem, wskazując na skierowane ku amfiteatrowi neurotransmitery, które miały nagrywać spektakl na użytek przyszłych ciekawskich.

Hurrr'poth wydał z siebie melodyjny trył, odpowiednik śmiechu.

- Tak jest.

- Jeśli tego nie aprobujesz, czemu tu przyszedłeś?

Znowu rozległ się trył.

- Dlatego, że jestem równie wielkim zbrodniarzem jak wy. Dlatego, że Vlhianie są arcydziełami funkcjonalnej formy, dlatego, że wydają mi się wspaniali, i dlatego, że uważam Balet za jedno z najpiękniejszych widowisk we wszechświecie, w którym przecież nie brakuje piękna. W rzeczy samej, jestem przekonany, że uwodzicielska moc Baletu w znacznej mierze polega na tym, iż jest on oskarżeniem nas, widzów... a jeżeli muszę zostać postawiony w stan oskarżenia, by Balet mógł się stać kompletnym dziełem, to z radością akceptuję swą winę jako część ceny za bilet. A co z tobą? Dlaczego tu przyszedłeś?

Odpowiedziałem mu ostrożnie. Dyplomaci niższego stopnia zawsze tak się zachowują, jeśli zadać im niewygodne pytania.

- Chcę zrozumieć.

- Achchchch. A kogo? Siebie czy Vlhianie?

- I jedno, i drugie - rzuciłem wymijająco, lecz zgodnie z prawdą, po czym pospiesznie zająrzałem w dalwidz, chcąc jak najprędzej uciec od tej konwersacji. Nie chodziło o to, bym nie lubił Hurrr'potha. Krępowała mnie jego umiejętność trafiania w samo sedno. Riirgaanie często znali tych, z którymi rozmawiali, lepiej niż oni sami. Być może to właśnie był jeden z powodów, dla których tak dalece wyprzedzili nas w odcyfrowywaniu tanecznego języka Vlhianie. My potrafiliśmy jedynie zadawać proste pytania i rozumieć nieskomplikowane odpowiedzi, oni zaś przeszli już do rozmów na abstrakcyjne tematy. Prowadząc badania, często musieliśmy korzystać z ich pomocy, a mimo to na ogół udawało się nam jedynie dotknąć spraw, o których oni wiedzieli już od lat.

Irytowało to tych spośród nas, którzy lubili we wszystkim być pierwsi, ja jednak byłem zdania, że współpraca jest dla nas korzystna. Być może Riirgaanom sprawiało przyjemność obserwowanie tego, jak inni sami rozwiązują problemy. Kto wie? Jeśli powszechne zainteresowanie Vlhąńskim Baletem cokolwiek oznacza, oznacza z pewnością to, że istoty rozumne ulegają dziwnym, nieprzewidywalnym namiętnościom... i że Vlhianie potrafią wyrazić je wszystkie.

Amfiteatr otoczyły chmury niesionego wiatrem piasku. Zgromadzeni po drugiej stronie Vlhąński widzowie zadrżeli niecierpliwie. Sto tysięcy ich pobratymców tłoczyło się w amfiteatrze w sposób, który wydawał się przypadkowy, w rzeczywistości jednak był starannie wyreżyserowany. Nasze instrumenty śledziły ruchy każdego z nich, by zarejestrować wiele subtelnych szczegółów, które miały różnić tegoroczne widowisko od poprzedniego. Sam przesuwałem tylko dalwidz z jednego na drugi koniec amfiteatru, zachwycony widokiem tłumu.

Ludzie posługujący się zrodzonym na Ziemi słownictwem często powiadają, że Vlhianie przypominają olbrzymie pająki. To może i niezłe porównanie, lecz pozbawia ono owe istoty wszystkiego, co w nich wyjątkowe. Osobiście wolę uważać je za marionetki. Wyobraźcie sobie lśniącą czarną kulę o średnicy około metra, tak gładką, że wydaje się zrobiona z metalu, i tak nieskazitelną, jakby wyprodukowano ją w fabryce. Jedyne ustępstwo na rzecz brudnych, biologicznych procesów pobierania pokarmu, wydalania, kopulowania i rozmnażania stanowi seria niemal niewidocznych szczelin. Tak wygląda głowa Vlhianina. A teraz wyobraźcie sobie od ośmiu do dwudziestu czterech lśniących, czarnych macek, które wyrastają z niej w różnych miejscach. To właśnie są Vlhąńskie bicze, które mogą osiągać długość trzydziestu metrów. Zręczność i sprawność, z jaką się nimi posługują,

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

przynoszą wstyd żalobnemu przeciwnemu kciukowi, którym muszą się zadowolić ludzie. Vlhastianin potrafi jednocześnie: a) wsadzić jeden bicz w piasek, czyniąc go sztywnym niczym maszt flagi, by mieć punkt zaczepienia, gdy jest zajęty innymi sprawami; b) czterema innymi biczami zbudować sobie schronienie z dostępnych materiałów; c) trzema następnymi szukać w chaszczach gryzoniopodobnych zwierzątek, które są jego ulubionym pokarmem; d) wymachiwać pozostałymi biczami nad głową, tworząc skomplikowane faloformy języka znaków, który pozwala tym istotom prowadzić do sześciu odrębnych konwersacji jednocześnie. Nawet pojedynczy, zajęty codziennymi sprawami Vlhastianin wygląda pięknie, a stutysięczny tłum, zgromadzony po to, by odtańczyć starannie wyreżyserowany Balet, który jest ich najświętszym rytuałem, a zarazem najwyżej cenioną formą sztuki, stanowi spektakl, którego ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć w całości. Spektakl i tragedię. Sto tysięcy zgromadzonych w wielkim amfiteatrze Vlhastianin będzie tańczyło bez odpoczynku, bez chwili wytchnienia, bez jedzenia i snu. Będą tańczyli tak długo, aż wreszcie utracą panowanie nad sobą i ich bicze zaczną wyszarpywać strzępy z ciał sąsiadów, aż ich serca pękną, a arenę wypełnią trupy. Rytuał odbywał się raz na miejscowy rok i nikt z pozaświatowców nie mógł twierdzić, że go rozumie. Nawet Riirgaanie. Wiedzieliśmy jednak, że jest to jakiś rodzaj sztuki, którego tragiczne piękno przekracza granice między gatunkami.

- W tym roku coś się spóźniają - odezwał się Hurr'poth. - Ciekawe, czy... Wciągnąłem powietrze w płuca, nagle przerażony.

- Mój Boże! Nie.

- Słucham?

Zbliżyłem obraz i zobaczyłem to znowu.

- AMBASADORZE! - krzyknąłem.

Hai Dhiju, który siedział dwa rzędy przede mną, odwrócił się zdumiony. Obyczaje panujące w naszej grupie były stosunkowo swobodne, lecz mimo to mój krzyk stanowił niewiarygodne pogwałcenie protokołu. Ambasador mógłby przyjąć to lepiej, gdyby nie fakt, że - jak co dzień - naćpał się łagodnych halucynogenów. Był w stanie funkcjonować, lecz jego refleks nie był zbyt szybki. Przymrużył na krótką chwilę oczy, nim sobie przypomniał, jak się nazywam.

- Alex. Co się stało?

- Tam jest kobieta! Między Vlhastianami!

Wykrzyczenie tych słów w samym środku tłumowi okazało się kiepskim pomysłem. Wokół nas rozległy się głosy, wołające "Co?" albo "Gdzie?" Reakcja obcych wahała się od milczenia mojego oszołomionego przyjaciela Hurr'potha aż do piskliwych, przeszywających wrzasków podekscytowanych Ialo i K'cenhowtenów. Kilku z nich zerwało się z miejsc i rzuciło na przezroczyste bariery, jakby szalona terrańska samobójczyni stała się dla nich inspiracją i chcieli przyłączyć się do niej na arenie, gdzie wkrótce nie zostanie nic żywego.

- Gdzie? - zapytał Dhiju.

Wręczyłem mu dalwidz.

- Jest nastawiony.

Posługując się mrugającymi strzałkami na wewnętrznym ekranie, ambasador znalazł wskazane miejsce. wszędzie wokół nas widzowie nastawili dalwidze na ten sam sygnał naprowadzający. Gdy ją ujrzeli, rozległ się chór westchnień.

Oddałem swój dalwidz ambasadorowi, nie widziałem więc tego co oni. Poprzednio zdążyłem tylko zobaczyć młodą kobietę. Była piękna i gibka, odziana w czarny trykot. Czarne włosy miała krótko przystryżone, a na obu policzkach wymalowała sobie znaki, które z niczym mi się nie kojarzyły. W jej oczach płonęło jakieś dziwne uczucie, które mógłbym błędnie wziąć za strach, gdyby nie owaniewiarygodnie spokojna gracja, z jaką się poruszała. Kobieta miała najwyżej dwadzieścia parę lat. Prawie wszyscy, którzy ujrzeli ją jednocześnie z ambasadorem, utrzymują obecnie, że zauważyli również coś więcej: dziwny rytm w ruchach jej ramion...

Może i tak. Ani ambasador, ani nikt inny nie powiedział wówczas nic na ten temat. Dhiju był tak wstrząśnięty, że zdołał odzyskać na chwilę przytomność umysłu.

- O Boże! Kto, do licha... Alex, ty zobaczyłeś ją pierwszy. Bierz śmigacz i zabieraj ją stamtąd w cholerę. Szybko!

- Ale co, jeśli...

- Jeśli Balet się zacznie, masz natychmiast zawrócić i pozwolić, by zapłaciła wszechświatowi zwyczajową cenę za głupotę. Ale dopóki to się nie

stanie, leć!

Mogłem się zawałać albo nawet odmówić, odwróciłem się jednak błyskawicznie i zacząłem przepychać przez tłum. Większość świadków uznała to za świadectwo mojej wrodzonej odwagi bądź też przywódczych zdolności Dhiju, im częściej jednak wracam myślą do chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem Isadorę, tym bardziej jestem przekonany, że chodziło mi o nią.

Może już wówczas byłem w niej trochę zakochany.

3. Dopiero gdy wydostałem się z tłumu i pokonałem połowę dzielącej mnie od śmigacza drogi, zauważyłem, że Hurr'r'poth biegnie tuż obok mnie. Na swych trójsegmentowych nogach z łatwością mógł doścignąć tak kiepskiego sportowca jak ja. Obcy wskoczył do pojazdu razem ze mną.

- Będę ci potrzebny - wyjaśnił, uprzedzając nieuniknione pytanie. - Startuj.

W zasadzie moja odpowiedź powinna brzmieć, że to czysto ludzka sprawa, a do tego nie wolno mi narażać go na niebezpieczeństwo. Hurr'r'poth mówił jednak prawdę. Miał wieloletnie doświadczenie w stosunkach z Vlhánianami i lepiej ode mnie rozumiał ich język. Był dla mnie najlepszą szansą na wyjście z życia z tej ryzykownej eskapady.

- Proszę bardzo - rzuciłem i ruszyłem w drogę.

Okrzyżłem od tyłu pomost dla widzów i skierowałem się nad amfiteatr, lecąc tak nisko, jak tylko się odważyłem. Gdy już znalazłem się nad Vlhánianami, nastawiłem śmigacz na sygnał dalwidza, by nakierować pojazd wprost na kobietę. Tysiące lśniących, czarnych kulistych głów obracały się powoli wokół osi, śledząc nasz lot. Choć niektóre odskakiwały trwożnie, znacznie więcej było takich, które sięgały ku nam biczami, jakby chciały pochwycić nas w locie. Przeciętny zasięg bicza dorosłej Marionetki jest dosyć duży, nie brakowało więc im do tego wiele.

Hurr'r'poth wyjrzał przez okno.

- Nie mamy dużo czasu, Alex. Inicjują już Pierwsze Podniesienie.

- Nie wiem, co to znaczy, Hurr'r'poth - wyznałem, przypinając opartą na riirgaańskim patencie biczoprząd.

- Taką nazwę nadaliśmy jednej z najwcześniejszych faz tańca, podczas której Vlhánianie gromadzą energię i synchronizują ruchy. Wy zapewne nazwalibyście to próbą albo strojeniem, najwyraźniej jednak ten etap jest tak samo pełen znaczeń jak wszystko, co dzieje się później. Niestety, nie trwa on zbyt długo i cechuje się nagłą, nieprzewidywalną aktywnością tańczących.

- Twój przelot wywołuje pewne interesujące... powiedziałbym niezgrabne i być może nawet... desperackie wariacje - dodał po chwili.

- Cudownie. - Nie miałem najmniejszej ochoty być do końca życia otoczony sławą człowieka, który zakłócił Vlháński Balet. - widzisz ją już?

- Ani na moment nie straciłem jej z oczu - odparł spokojnie Hurr'r'poth. Po kilku sekundach ja również ją zauważyłem. Schodziła krokiem, którego nie potrafię określić inaczej jak falujący, ze stoku po przeciwległej stronie amfiteatru, kierując się ku najbardziej zwartym skupiskom Vlhánian. Machała obiema szczupłymi rękami, unosząc je wysoko nad głowę. W pierwszej chwili zdawało mi się, że próbuje przyciągnąć moją uwagę, szybko jednak się zorientowałem, że po prostu stara się naśladować ruchy Vlhánian. Poruszała się jak ktoś, kto biegle zna język, kto nie tylko dokładnie wie, co chce powiedzieć, lecz również dysponuje potrzebną do tego budową ciała. Wszystkie jej cztery kończyny były tak szczupłe, że przypominały raczej vlháńskie bicze niż ludzkie ręce i nogi. Jeden z pierwszych gestów, które u niej zauważyłem, wyglądał tak, że owinęła ramiona jedno wokół drugiego, nie raz, lecz sześć razy, tworząc podwójną helisę.

- Jezu! - rzuciłem, gdy zniżyliśmy lot. - Jest udoskonalona.

- Co najmniej - zgodził się Hurr'r'poth.

Rozplotła ramiona, które przerodziły się w zygzakowate, komiksowe błyskawice, po czym znowu uniosła je nad głowę i zaczęła kiwać nimi w niemal komiczny sposób. Od jej nadgarstków aż do barków przemieszczały się przypominające nawiasy fale. Gdy zatrzymaliśmy pojazd trzy metry nad jej głową, skrzywiła się wściekle, zbliżając wytatuowane na policzkach szkarłatne szewrony do ciemnych, przenikliwych oczu. Potem spuściła wzrok i oddaliła się.

- Zostaw ją - odezwał się Hurr'r'poth.

- Zginie - zaprotestowałem, przesywając go wzrokiem.

- Tak samo jak reszta zebranych. Po to właśnie tu przybyli. Jeśli ją uratujesz, zakłócisz Balet bez dostatecznego powodu, a do tego udowodnisz

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

Vlhanianom, że uważasz jej życie za bardziej wartościowe od ich życia. Zostaw ją. Jest pielgrzymem i jej przywilejem jest umrzeć, jeśli tego właśnie pragnie.

Hurrr'poth zapewne miał rację. Jak zwykle. Nie znał jednak ludzkiego gatunku ani mnie tak dobrze jak Vlhanian i dlatego nie potrafił zrozumieć, że to, co proponuje, jest nie do przyjęcia. Opuściłem śmigacz na ziemię i wyskoczyłem z niego niemal całą sekundę przed tym, nim można to było bezpiecznie zrobić. Zderzyłem się z gruntem tak gwałtownie, że ból przeszył mi kolana.

Ze wszystkich stron otaczali mnie Vlhanianie; wielkie czarne kule kroczące chwiejnie na falujących płynnie biczach. Jeden z nich przeszedł ostrożnie nade mną i nad śmigaczem, po czym zniknął w gęstwie na dole, nie poświęcając mi najmniejszej uwagi. Kilku innych zamarło w bezruchu na mój widok, jakby nie byli pewni, jakich improwizacji mogą od nich zażądać. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia rozgniewanego czy agresywnego, lecz bynajmniej nie czułem się przez to lepiej. Nawet nieagresywni Vlhanianie są skrajnie niebezpieczni. Ich bicze wytrzymałością na rozciąganie dorównują niemal stali, a do tego potrafią niekiedy poruszać się szybciej od dźwięku. Co prawda, wszyscy nieraz już stykaliśmy się z Vlhanianami - zaciekawione osobniki podnosiły mnie nawet z ziemi, by mi się przyjrzeć - byli to jednak spokojni, opanowani Vlhanianie, Vlhanianie w stanie relaksu, Vlhanianie odpowiadający normie psychicznej swego gatunku. Ci tutaj byli opętanymi pielgrzymami, którzy będą oddawali się szalonemu tańcowi, aż wreszcie padną martwi. Mogli poszatkować na plasterki mnie, kobietę, Hurrr'potha albo śmigacz, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robią.

Odległa o piętnaście metrów kobieta wyginała plecy i kołysała giętkimi jak wstęgi rękami.

- Zmiatajcie! - zawołała w ludzkim standardowym o niemożliwym do zidentyfikowania akcencie. - To niebezpieczne! Zostawcie mnie!

Włączyłem uprząż, uaktywniając parę sztucznych biczów, które natychmiast uniosły się z moich ramion i zaczęły się wić nad głową, nieudolnie naśladując vlhański sygnał taneczny oznaczający przyjaciela.

Nasza delegacja nauczyła się budować ten sprzęt od Riirgaan. Podstawowe słownictwo również poznaliśmy dzięki nim. W uprząż wmontowano pięćdziesiąt zasadniczych memów, które wystarczały, by umożliwić niezgrabnym, mającym zaledwie cztery kończyny ludziom porozumienie z Vlhanianami na poziomie prostego, dziecinnego języka. To jednak nie mogło wystarczyć, byśmy oboje opuścili amfiteatr żywi...

Nadając we wszystkich kierunkach hasło przyjaciela, pobiegłem ku niej, zatrzymując się tylko na chwilę, by nie zderzyć się z wysoką Marionetką, która przechodziła między nami. Gdy zbliżyłem się już do kobiety tak bardzo, że mogłem ją złapać, nie próbowała uciekać ani się wyrwać. Nawet nie przestała tańczyć.

- Zostaw mnie - powiedziała tylko. - Ratuj siebie.

- Nie - sprzeciwiłem się. - Nie mogę ci na to pozwolić.

wykręciła górną kończynę w sposób wykraczający poza możliwości ludzkiej anatomii i bez trudu wysliznęła się z mojego uścisku.

- Nie powstrzymasz mnie - oznajmiła, oddalając się w piruecie tak pełnym gracji, że oczy bolały mnie, gdy na niego patrzyłem. Odwróciłem się i przeszyłem zachowującego spokój Hurrr'potha spojrzeniem mającym mówić: "Czemu mi nie pomagasz, do cholery", po czym rzuciłem się w pogoń za kobietą.

Kiedy ją dopadłem, stała pod pięciokrotnie od niej wyższą Marionetką, tańcząc w tym samym rytmie co ona. Osiem uniesionych w górę biczów Vlhanianina poruszało się w takt tej samej, niesłyszalnej muzyki co ręce kobiety. Cztery dalsze wówki zagłębiły się w glebę i otoczyły nieznaną ze wszystkich stron, tworząc klatkę, w której tańczyła solo. Sprawiało to wrażenie niemal macierzyńskiej opieki, lecz mimo to wcale nie czułem się bezpiecznie, gdy przemknąłem między tymi biczami i zatrzymałem się obok niej. Tym razem również nie próbowała uciekać. Patrzyła przed siebie, obojętna na spojrzenia - moje, Vlhanian oraz wszystkich rozumnych istot, które miały oglądać zapis tej sceny, gdy nikogo z nas dawno już nie będzie wśród żywych... obojętna na wszystko poza ruchami, których wymagał od niej taniec.

Uprząż wydawała z siebie piskliwe tony, wypełniając moje ucho tysiącem niespójnych tłumaczeń. Niebezpieczeństwo. Życie. Noc. Zimno. Głód. Burza. Taniec. Nie miałem pojęcia, czy to przekład słów kobiety, czy Vlhanianina.

Castro Adam-Troy - Zalobny marsz Marionetek(txt)

- Proszę bardzo - rzuciłem zdesperowany. - Jeśli tak chcesz to rozegrać, to proszę bardzo. Ale zechciej mi powiedzieć, dlaczego? Co masz nadzieję osiągnąć?

Osadzona na długiej, smukłej szyi głowa obróciła się o pełne 360 stopni, naśladowując podobny ruch pozbawionej twarzy głowy stojącej nad nami Marionetki. Kobieta spoglądała na mnie, dopóki nie straciłem z oczu jej oblicza. Gdy ujrzałem je ponownie z drugiej strony, jej spojrzenie natychmiast odszukało mnie znowu. Miało poważny wyraz, lecz nie było w nim lęku.

- Tańczę po vlhańsku. A co ty chcesz osiągnąć? Dać się zabić, bawiąc się w gilgamesza?

- Wolałbym tego uniknąć. Chciałbym, żebyś poszła ze mną, nim coś ci się stanie.

- Wpakowałeś się w znacznie gorszą kabałę ode mnie. Ja przynajmniej jarzę kroki.

Vlhanianie nie przestawali tańczyć, nie zwalniali ani nie przyspieszali, nie reagowali w żaden dostrzegalny sposób na słowa Isadory i moje.

Wydawało się, że w ogóle nie zwracają na nas uwagi. Znalazłem się jednak pośrodku ich tańca i choć nikomu z ludzi nie udało się dotąd wykroczyć poza podstawy vlhańskiego języka znaków, czułem... coś, co przypominało potężne, zbiorowe westchnienie, dobiegające ze wszystkich stron jednocześnie. Poczuję nagle instynktowną pewność, że wszyscy vlhanianie w całym amfiteatrze pilnie śledzą wszelkie niuanse każdego słowa wypowiedzianego przeze mnie i przez tę niezwykłą młodą kobietę. Nawet jeśli byli zbyt daleko, by nas widzieć albo słyszeć, ci, którzy nas otaczali, informowali ich na bieżąco. Sztafeta przekazywanych z zapartym tchem wieści docierała do najdalszych zakątków areny. Znaleźliśmy się w centrum uwagi. Skupiały się na nas ich obsesje. I chcieli, żebym o tym wiedział.

Nie była to telepatia. Tę wykazałyby nasze przyrządy. Cokolwiek to było, nie można było tego zmierzyć, nie rejestrowały tego neurotransmitery ani nie zaobserwowała żadna z obecnych delegacji. Osobiście sędzę, że po prostu dokonałem pod wpływem stresu niewiarygodnego skoku poznawczego i na krótką chwilę zrozumiałem vlhański taniec tak, jak powinno się go rozumieć. Bez względu na powód, natychmiast pojąłem, że impas, w którym się znaleźliśmy, był najważniejszym wydarzeniem rozgrywającym się w całej dolinie.

Miłość - piszczała moja uprzęż. Bezpieczeństwo. Taniec. Pokarm.

Smutek.

Poblądła.

- Co zamierujesz uczynić?

To, na co się zdecydowałem, było najodważniejszym, najbardziej szalonym albo najinteligentniejszym postępkim w całym moim życiu.

Odwrociłem nasze pozycje i złożyłem swoje życie w ręce tej kobiety. Zwróciłem się do niej plecami i po prostu odszedłem... kierując się nie w stronę Hurrr'potha, śmigacza i bezpieczeństwa, lecz w dół stoku, ku najgęstszej ciżbie vlhanian. Gęstwy uderzających wściekle biczów nie sposób było przeniknąć wzrokiem, ruszyłem jednak tak szybko, jak tylko mogłem bez przechodzenia w bieg, ku szczególnie skłębionemu skupisku, w którym w mgnieniu oka mogłem zostać posiekany na plasterki. Okazało się to znacznie łatwiejsze, niżby się zdawało. Wystarczyło, że przerwałem połączenie między strachem a mięśniami nóg.

- Hej! HEJ! - krzyknęła kobieta.

Pół metra przede mną wbiły się w ziemię cztery vlhańskie bicze.

Wzdrygnąłem się, ale nie zatrzymałem. Vlhanianin usunął mi się z drogi, stawiając kolejny siedmiomilowy krok. Przeszedłem nad pozostawionymi w ziemi bliznami...

... i zobaczyłem, że przecięła mi drogę.

- Co ci się rodzi w tej bzykanej głowie?

Moją pierwszą odpowiedzią zniszczyło jękanie, oznaka przerażenia, którego ze wszystkich sił starałem się nie czuć. Przełknąłem ślinę i skupiłem się na wyraźnym wypowiedaniu słów.

- Idę na spacer - odparłem. - Mamy ładny dzień.

- Jeśli dalej będziesz tańcował w tę stronę, nie pożyjesz nawet dwóch minut.

- W takim razie musisz podjąć moralną decyzję - odparłem z pewnością siebie, która w rzeczywistości była odległa ode mnie o milion kilometrów.

- Możesz odprowadzić mnie do śmigacza i trzymać za rękę, nim zawiozę nas w

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

bezpieczne miejsce. Albo możesz zostać tutaj, tańczyć dalej i pozwolić, bym zginął razem z tobą. Jeśli nie chciałem mieć cię na sumieniu, musiałem zrobić tak, żebyś ty miała mnie na swoim.

Niebezpieczeństwo. Taniec. Niebezpieczeństwo.

Gorący powiew, ostry jak brzytwa furkot. Macka ominęła mnie o włos.

Poczułem ból. Uczępiłem się kurczowo resztek opanowania, ominałem kobietę i ruszyłem naprzód.

Wymamrotała przekleństwo w jakimś języku, którego nie znałem, i oplótła ramionami moją klatkę piersiową. Dosłownie. Obie jej ręce przerodziły się w węże, które owinęły się wokół mnie dwa razy, nim jej dłonie złączyły się pod moją szyją. W dotyku niczym się nie różniły od ludzkiego ciała, były nawet ciepłe i spocone z wysiłku, lecz pod jej nazbyt elastyczną skórą poruszało się coś innego niż mięśnie i kości.

Jej serce biło w tym samym rytmie co moje.

- Powinnam ci kiwnąć - wydyszała. - Gdybyś zatańcował między nimi, zostałyby z ciebie krwawa masa.

Udało mi się odwrócić głowę na tyle, bym mógł na nią spojrzeć.

- Decyzja należy do ciebie.

- I kombinujesz sobie, że wiesz, jaka będzie, tak? Kombinujesz sobie, że kumkasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, ile jestem skłonna poświęcić dla jakiegoś bzykanego głąba, który chce zagrać rolę męczennika. Kombinujesz sobie... że... wiesz.

Zdarza się, że ludzie powiedzą w kryzysowej sytuacji coś tak głupiego, że potem prześladuje ich wspomnienie własnych słów.

- Znam się na ludziach.

- Znasz się na próżni. Siedzisz sobie na tym bzykanym podeście, popatrujesz na spektakl i ronisz łzę nad wszystkimi tymi robaczkami, które rozdzierają się na krwawą masę, żebyś miał widowisko. Nosisz to śmieszne ustrojstwo - wskazała na moje sztuczne bicz - piszesz bzykane rozprawy o tym, jakie to wszystko piękne, i udajesz, że coś pojmujesz, ale w rzeczywistości nic nie widzisz, nic nie jarzysz, o niczym nie masz pojęcia. Nie kumkasz nawet tego, że specjalnie schodzą ci z drogi, żeby nie zrobić z ciebie krwawej masy. Skupiają się na tobie zamiast na przedstawieniu, wykorzystując cały margines swobody, który daje im scenariusz, wybierają trochę szybszy albo trochę wolniejszy krok, a wszystko to dla ciebie, mój bzykany znawco ludzi. Ale jeśli dalej będziesz tańcował w tym kierunku, nie będę mogła dłużej nad tobą czuwać, żeby nie zbykać całego widowiska. Zrobią z ciebie krwawą masę, nim zdążysz zaczerpnąć tchu!

Jeśli podczas całej tej rozmowy choć raz zrobiła przerwę na oddech, nie zauważyłem tego. Nie wahała się, nie przerywała, nie mówiła "hm", szukając odpowiedniego sformułowania. Szybki, gniewny, namiętny potok słów wydostawał się z jej ust niczym stado dzikich zwierząt rozpaczliwie pragnących wyrwać się na wolność. W jej oczach lśnił wyraz pełnego bólu i desperacji błagania. Prosiła mnie, bym zostawił ją na śmierć, którą sobie wybrała. Jej mina dobitnie świadczyła, że wie, iż to, o co prosi, jest ważniejsze od nas dwojga, i rozpaczliwie pragnie, bym ja również w to uwierzył.

Niebezpieczeństwo. Taniec. Narodziny.

Mało brakowało, bym dał za wygraną.

- Nie interesują mnie moralne decyzje Vlhianian - odpowiedziałem jednak. -

Obchodzi mnie wyłącznie ta, którą ty podejmiesz. Idziesz ze mną czy nie?

Rozluźniła uścisk i przez chwilę zastanawiałem się, czy zechce sprawdzić mój bluff. Potem zadrzała i w głębi jej gardła zrodziło się łkanie.

- Bzykać to! BZYKAĆ! Jak to wycyrklowałeś, niech to szlag!

Nie znałem jej jeszcze wówczas na tyle dobrze, by wiedzieć, co miała na myśli.

Już wtedy jednak zacząłem nienawidzić sam siebie za to, że stanąłem jej na drodze.

4. Powrót do śmigacza przebiegł spokojniej. Kobieta poprowadziła mnie krętą, lecz bezpieczną trasą przez samo serce Baletu. Mówiła mi, kiedy mam przyspieszyć, a kiedy zwolnić, kiedy iść prosto przed siebie, a kiedy ominąć szerokim łukiem miejsce, w którym po kilku sekundach nieuchronnie pojawiał się tłum pogrążonych w szalonym tańcu Vlhianian. Słuchałem jej wskazówek nie dlatego, że uważałem ją za nieomylną, lecz dlatego, iż sprawiała wrażenie, że wie, co robi, podczas gdy ja byłem całkowicie zdezorientowany.

Nim jeszcze zbliżyliśmy się do miejsca, w którym zostawiłem śmigacz,

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)
usłyszałem w górze buczenie jego silników. Hurr'r'poth unosił się tuż nad nami. Była to kolejna z niespodzianek, jakie spotkały mnie owego dnia, jako że śmigacz był nastawiony na ludzki genotyp i Riirgaanin raczej nie mógłby go uruchomić.

- Jak, do diabła...! - zawołałem, gdy obniżył maszynę na wysokość wsiadania.

Pomachał do mnie ręką.

- Wskakujcie szybko. Nie wiem, ile czasu nam zostało.

Kobieta zadrżała, nie ze strachu, lecz z rozpaczy wywołanej perspektywą rezygnacji z tego, czego pragnęła najbardziej na świecie. Była załamana. Jeśli zmuszę ją do wejścia do śmigacza, pozostaną jej rany, które być może nigdy już się nie zagoją. Przynajmniej jednak będzie miała szansę przeżyć... czego nie da się powiedzieć o tańcu z Vlhianianami.

- Ty pierwsza - rzekłem.

Ujęła wyciągniętą rękę Hurr'r'potha i weszła do pojazdu. Podążyłem za nią i usiadłem na fotelu obok niej na wypadek, gdyby postanowiła czegoś spróbować. Riirgaanin poderwał maszynę, nastawił przyrządy na lot powrotny i odwrócił się do nas.

- Mam nadzieję, że nie uznałeś tego za brak uprzejmości, Alex - oznajmił łagodnym trybem.

Jego maniery były ostatnią rzeczą, która by mnie w tej chwili obchodziła.

- A właściwie czego?

- Tego, że samowolnie zrobiłem użytek z twojego wehikułu. Grupka bardzo wielkich Vlhianin była wyraźnie zdecydowana przejść przez miejsce, w którym go posadziłeś, uznałem więc, że jeśli mamy sobie zapewnić bezpieczny powrót, lepiej będzie, jeśli podyskutuję z twoim czytelnikiem genetycznym. Dał sobie przemówić do rozsądku znacznie szybciej, niż się tego spodziewałem.

- Nie ma sprawy.

Zwrócił się do dziewczyny.

- Nazywam się Viliissin Hurr'r'poth. Jestem specjalistą trzeciego stopnia od języka fałiform, członkiem riirgaaniskiej delegacji i bez względu na to, co wydarzy się teraz, muszę stwierdzić, że w mojej profesjonalnej opinii jest pani niezwykle utalentowaną tancerką jak na swój gatunek. Wyglądała pani między Vlhianianami jak u siebie w domu. To wielka przyjemność móc panią poznać. Jak się pani nazywa?

- Isadora - burknęła.

Dobrze, że ją zapytał. Byłem zbyt zaprzątnięty walką o ocalenie życia, by pomyśleć o tym samemu.

- I-sa-do-ra - powtórzył powoli, wsłuchując się w każdą sylabę, by zapisać ją w pamięci. - To ciekawe. Chyba się jeszcze nie spotkałem z takim imieniem. Czy jest do niego jakiś dodatek? Określenie rodziny lub klanu? Odwróciła wzrok w geście kogoś, kto nie ma już siły albo ochoty odpowiadać na pytania.

- Nie ma. Po prostu Isadora.

Zapadła cisza. Wyteżałem umysł, szukając słów, które pozwoliłyby mi ją przerwać. Chciałem wygłosić wspaniałą, porywającą przemowę na temat świętości życia, powiedzieć, że zawsze można znaleźć drugą szansę, a w pełnym trylionów możliwości wszechświecie samobójstwo jest głupotą. Powiedzieć jej, że cieszę się, iż zdecydowała się polecieć ze mną i zachować życie, że wyczułem w niej coś niezwykłego - siłę woli i szlachetność zamiarów, które uczyniłyby ją kimś szczególnym, nawet gdyby nie miała udoskonaleń. Pragnąłem jej wytłumaczyć, że znajdzie miejsca, w których będzie mogła zrobić z tych zdolności lepszy użytek niż na tej planecie, w tym amfiteatrze, pośród tysięcy skazanych na śmierć Vlhianin. Chciałem jej powiedzieć to wszystko, a nawet więcej, gdyż nagle poczułem, że pragnę ją zrozumieć znacznie goręcej niż istoty, które tańczyły na dole. Hurr'r'poth miał jednak rację. Między Vlhianianami wyglądała jak u siebie w domu, a tutaj, obok nas, siedziała tylko drżąca, zdruzgotana młoda kobieta.

Pod nami kipiało morze czarnych, lśniących ciał i uderzających wściekle biczów. Kuliste głowy odwracały się, śledząc nasz lot.

- Chyba zwalniamą - odezwał się Hurr'r'poth.

Nic takiego nie zauważyłem. Balet wydawał mi się równie frenetyczny jak przed pięcioma minutami. Był pełen doskonałej gracji, niezmiernie fascynujący i absolutnie obcy: ocean płynnego, nieodróżnicowanego ruchu, którego nawet w minimalnym stopniu nie umniejszało usunięcie jednej niezwykłej kobiety z szewronami na policzkach. Dlaczego zresztą miałyby go

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

umniejszyć? Zawsze dotąd tańczyli bez niej i teraz mogli zrobić to samo. Zapewne cieszyli się, że już im się nie płacze "pod nogami"... Staralem się w to uwierzyć bardzo mocno, lecz bez powodzenia. Hurr'poth wiedział o ich tańcu więcej ode mnie. Wyglądało jednak na to, że nawet on nie wie tyle co Isadora. Nie potrafiłby wejść w sam środek Baletu i ocalić skórę, był jednak w stanie pojąć zasadniczy sens tego, co widział. Jeśli powiedział, że Vlhaniańskie zwalniają, z pewnością tak było. Jedynym powodem mógł być fakt, że zabrałem im Isadorę. Byli tak samo zdruzgotani jak ona.

Dlaczego?
5. Posadziliśmy śmigacz na otwartym terenie za trybuną. Na spotkanie wyszedł nam tłumek ludzi i Obcych, z Dhiju na czele. Wszyscy chcieli się dowiedzieć, kim jest Isadora, skąd pochodzi i po co tu przybyła. Szczerze wątpię, by ktokolwiek został na podwyższeniu, żeby obserwować Balet. Otoczyli nas grupą tak zwartą, że nawet nie próbowaliśmy wysiąść ze śmigacza: ironiczna, niezamierzona parodia tańca, który mieliśmy tu obejrzeć.

Dhiju dyszał ciężko, a twarz miał zaczerwienioną - zarówno z powodu niepokoju, jak i nacpania - zachował jednak choć tyle przytomności umysłu, by najpierw pomówić ze mną.

- Rewelacyjna robota, Alex. Dopilnuję, żeby odliczono ci trochę czasu od kontraktu.

- Dziękuję panu.

Zwrócił się w stronę Hurr'potha.

- Panu również jestem wdzięczny - ciągnął. - Nie musiał pan narażać życia dla kogoś z nas. Chciałbym panu za to podziękować.

Hurr'poth pokłonił się lekko. Ten gest zaskoczył mnie nieco, gdyż po istocie, która tak lubi brzmienie własnego głosu, spodziewałem się czegoś więcej. Być może on również niecierpliwie oczekiwał tego, co - jak wszyscy wiedzieliśmy - miało wydarzyć się potem: próby zaprowadzenia dyscypliny przez Dhiju. Ambasador spełnił jego życzenie.

- Młoda damo, czy zdaje sobie pani sprawę, ile praw pani złamała? - zapytał z najgroźniejszą, najbardziej gniewną i srogą miną w swym repertuarze. - Co, do licha, strzeliło pani do głowy? Czy obudziła się pani rano i pomyślała, że to byłby odpowiedni dzień, by dać się rozedrzyć na strzepy? Czy tak właśnie wyglądał pani plan na popołudnie?

Isadora przeszła go gniewnym wzrokiem.

- Robaczki mnie zaprosiły.

- Zaprosiły na śmierć? Czy jest pani aż tak ślepa?

Tym razem Hurr'poth zachował się typowo.

- Przepraszam, panie Dhiju, ale sądzę, że nie przemyślał pan sprawy należycie.

Ambasador nie lubił, gdy mu przerywano, protokół zmusił go jednak do zachowania uprzejmości.

- A dlaczego? Na czym polega mój błąd?

- Śmiem twierdzić, że to powinno być oczywiste. Czego zdołaliśmy się dowiedzieć o tej młodej damie? Nie ulega wątpliwości, że poddała się przebudowie, by móc naśladować ruchy Vlhaniańskie. Z pewnością dowiedziała się o ich tańcu znacznie więcej, niż udało się to pańskim i moim rodakom. Dotarła tu nie wiadomo skąd najwyraźniej bez wiedzy pańskich pobratymców i przyłączyła się do najdokładniej obserwowanego tubylczego rytuału w całej znanej historii, umykając uwadze setek obserwatorów z siedmiu różnych konfederacji. Zauważono ją dopiero wtedy, gdy była już w samym środku. Nie, panie Dhiju, choć wolno panu wątpić, czy jej decyzja przyłączenia się do Vlhaniańskiego Baletu była rozsądna, nie sądzę, by mógł ją pan oskarżać, że uczyniła to pod wpływem chwili. Taka decyzja z pewnością wymagała wielu lat świadomych przygotowań, znacznego wsparcia ze strony osób dysponujących środkami niezbędnymi, by wyposażyć tę kobietę owe udoskonalenia, oraz determinacji tak wielkiej, że nie sposób jej nazwać inaczej jak obsesją.

Dhiju zastanawiał się nad tymi słowami tak długo, że przez chwilę obawiałem się, iż halucynogeny nie pozwoliły mu ich zrozumieć. Potem pokiwał głową, popatrzył na Isadorę z innym, bliższym litości wyrazem i spojrzął mi prosto w oczy. Nie musiał mnie obrażać wypowiedzeniem rozkazu na głos.

Zbadaj sprawę.

Skinął głową. Odwrócił się i odszedł. Nie skierował się na trybunę, lecz do swego śmigacza, który był zaparkowany obok innych, należących do

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)
ambasady pojazdów. Kilku kontraktowych pracowników, między innymi Rory, Kathy i Oskar, podażyło za nim. Wiedzieli, że będą potrzebni w śledztwie, które za chwilę się rozpocznie.
Popatrzyłem na Isadorę.
- Możesz nam oszczędzić mnóstwa kłopotów, jeśli po prostu powiesz wszystko, co powinniśmy wiedzieć.
Przeszyła mnie wyzywającym spojrzeniem. W jej oczach palił się mroczny, obcy płomień. Nadal nie chciała mi wybaczyć tego, że uratowałem jej życie, czy może wybaczyć sobie tego, że uratowała moje.
- A czy wtedy pozwolicie mi wrócić?
- Przykro mi, ale nie. Nie wyobrażam sobie, by Dhiju kiedykolwiek się na to zgodził.
Jej spojrzenie było równie wymowne jak spojrzenie ambasadora: róbcie, co chcecie. Dowiedzcie się, ile zdołacie. Nie mam zamiaru ułatwiać wam zadania.
Trudno. Jeśli ona potrafiła zrozumieć Vlhania, mnie z pewnością uda się zrozumieć ją. Spojrzałem na Hurrh'potha.
- Idziesz ze mną?
Po chwili zastanowienia pokiwał głową w przeczącym geście.
- Dziękuję ci, Alex, ale nie. Sądzę, że będę bardziej użyteczny, jeśli spróbuję przeprowadzić śledztwo na własną rękę, korzystając z innych doświadczeń. Gdy tylko dowiem się czegoś istotnego, natychmiast się z tobą skontaktuję.
- Do zobaczenia, stary zbrodniarzu - rzuciłem.
To był taki mały eksperyment, próba przekonania się, jak zareaguje na żart. Nie sprawił mi zawodu.
- Do zobaczenia... pornografie.
6. W całej historii ludzkiej obecności na Vlhania mógł być to jedyny moment, gdy delegacja naprawdę stanęła w obliczu poważnego dyplomatycznego incydentu. W ciągu wszystkich tych lat dochodziło, co prawda, do pomniejszych kryzysów, takich jak niczym niezakłócone misje ratunkowe wysyłane po językoznawców czy antropologów, którzy ugrzęźli gdzieś w terenie, albo sprzeczek czy niegroźnych utarczek z członkami innych delegacji, nigdy jednak nie znaleźliśmy się w sytuacji, gdy chodziło o życie i śmierć, nigdy nie poddano nas próbie jako przedstawicieli Konfederacji ani nie zetknęliśmy się z szeregiem tajemnic powiązanych z jedną młodą, uparcie milczącą kobietą.
Pracowaliśmy przez całą noc, lecz nie osiągnęliśmy zupełnie nic. Pobraliśmy próbki DNA, zapisy głosu i wzór siatkówki, wysłaliśmy je przez hytex do baz danych na tysiącu różnych planet, lecz nikt nie miał pojęcia, kim może być Isadora. Sprawdziliśmy naszą bibliotekę w poszukiwaniu wzmianek o ludzkich kulturach stosujących rytualny tatuaż twarzy. Znaleźliśmy kilka, lecz żadna z obecnie istniejących nie wytatuowałaby szewronów na obu policzkach młodej kobiety. Uczepiliśmy się slangowych wyrażen, których używała, w nadziei, że zaprowadzą nas do świata, na którym są aktualnie w użyciu również bez rezultatu. To jednak nie musiało znaczyć wiele, gdyż język jest płynny, a w przypadku slangu moda potrafi się zmieniać co tydzień.
Isadora bez słowa poddała się medycznym badaniom, które uzupełniły tylko szczegółami to, co i tak już wiedzieliśmy. Cały jej szkielet, większość mięśni i znaczną część skóry zastąpiono udoskonalonymi substytutami. Górne kończyny były istnym cudem inżynierii. W przestrzeń między barkiem a nadgarstkiem wciśnięto z górą dziesięć tysięcy funkcjonalnych stawów. Układ nerwowy również był tylko po części jej oryginalną własnością. Miało to sens, jako że ludzki mózg po prostu nie jest przystosowany do sterowania kończyną, która zgina się w tak wielu miejscach. W ramiona wmontowano skomplikowany układ przewodzących impulsy nerwowe mikrosterowników. Wystarczyło, by zdecydowała, jakie ruchy chce wykonać, a te urządzenia wiedziały już, jak się do tego zabrać. W płucach miała specjalne chemiczne filtry, maksymalizujące wydajność wchłaniania tlenu. Odkryliśmy również kilka znaczących udoskonalen tkanki łącznej oraz niezliczone inne zmiany, z których tylko część była łatwa do zrozumienia. Ludzkich instytucji zdolnych dokonać podobnej przebudowy nie było wiele, a większość z nich działała na poziomie rządów i wielkich korporacji. Skontaktowaliśmy się z niemal wszystkimi od Międzygwiazdnej Agencji Ochroniarskiej aż po Korporację Zbrojeniową Bettelhine'a, żadna jednak nie przyznała się do Isadory. Rzecz jasna, ktoś mógł kłamać, jako że niektóre z tych udoskonalen były nielegalne, lecz z drugiej strony wszystkie te

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

firmy były zorientowane na zysk, a na przebudowie młodej kobiety w coś w rodzaju nastawionego na samozniszczenie pseudo-Vlhanianina po prostu nie sposób było zarobić.

Zostały więc agencje pozaludzkie, z których część mogła kierować się motywami niezrozumiałymi dla przedstawicieli naszego gatunku. Byliśmy jednak w stanie skontaktować się przez hytex tylko z nielicznymi, a w dodatku okazało się to stratą czasu, gdyż te, które znajdowały się w naszym zasięgu, cechowały się swobodnym podejściem do prawdy. Kathy Ng, która odpowiadała za ten aspekt naszych dochodzeń, poczuła się w końcu tak porytowana, że utyskiwała głośno:

- Skąd mam wiedzieć, kto mówi prawdę? Nikt z nich nie jest nawet konsekwentny w swych kłamstwach!

Wszyscy jej współczuli, lecz nikt nie miał lepszych pomysłów.

Ja spędziłem cztery godziny przy hytexie, sprawdzając spisy pasażerów cywilnych statków, które znalazły się ostatnio w promieniu dwudziestu lat świetlnych od Vlhanu, nie znalazłem jednak nikogo, kto choć w przybliżeniu odpowiadałby rysopisowi tajemniczej kobiety i zaginał gdzieś po drodze. Potem poświęciłem kilka minut na obserwację Isadory, którą zamknęliśmy w naszej biologicznej izolatce. Było to jedyne pomieszczenie w całej placówce, które mogło służyć jako więzienie, choć nigdy nie przyszło nam do głowy, że zrobimy z niego taki użytek. Hai Dhiju siedział w pokoju obserwacyjnym, spoglądając przez jednostronnie przepuszczalną barierę na naburmuszoną Isadorę. Obok niego przysiadł Oskar Levine, który na przemian to spoglądał na naszego więźnia, to podlizywał się ambasadorowi. Gdy Dhiju mnie zauważył, w jego przekrwionych, skrytych za opadającymi powiekami oczach pojawił się jakiś błysk, który mógł być jedynie efektem niewypłukanych jeszcze z organizmu halucynogenów, mógł też jednak świadczyć o czymś gorszym, jak na przykład o rozpacz. Tak czy inaczej, ambasador nie wrzasnął na mnie, każąc mi wracać do roboty, lecz przywołał gestem do siebie.

Usiadłem obok niego i przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odzywał. Woleliśmy patrzeć na Isadorę, która zajęła się ćwiczeniami. (A może raczej występem, bo chociaż ze środka pomieszczenia widziała tylko cztery gładkie ściany, z pewnością zdawała sobie sprawę z tego, że za jedną z nich kryją się obserwatorzy). Sprawdzała giętkość swych kończyn, układając je w spirale, łuki i zygzakowate linie przypominające błyskawice. W jednej chwili zachodziły w nich tysiące różnorodnych zmian. Widowisko to kryło w sobie kilka różnych rodzajów piękna - od niewiarygodnej, nieludzkiej gracji aż po przesycającą każdy ruch gwałtowną namiętność. Urządzenie tłumaczące co jakieś trzydzieści sekund wypowiadało piskliwym głosem kolejne słowo. Śmierć. Vlhanianin. Świat. Smutek. Taniec. Pokarm. Życie. Smutek.

Człowiek.

Nic z tego, co robiła, nie miało dla mnie żadnego znaczenia, a jednak oczy mi aż płonęły. Pragnąłem patrzeć na nią przez całą wieczność.

Dhiju pociągnął łyk niebieskiego płynu z kryształowego cylindra.

- Znalazłeś coś?

Minęło kilka sekund, nim zdałem sobie sprawę, że mówi do mnie.

- Nie, ambasadorze. Podejrzewam, że nie zostawiła żadnego śladu.

Zimno.

- To nie ma sensu - mruknął z frustracją, która z pewnością przenikała go aż do szpiku kości. - Każdy zostawia po sobie ślady. W ciągu niespełna doby mógłbym się dowiedzieć, co jadłeś na śniadanie w dzień swych piątych urodzin, przejrzeć twój psychoprofil, by sprawdzić, w którym roku dorastania miałeś najbarwniejsze erotyczne sny i ściągnąć pełną dokumentację twych przodków aż do piętnastego pokolenia, a jeszcze zostałyby mi czas na sporządzenie kompletnej listy niebezpiecznych recesywnych genów kuzynów drugiego stopnia wszystkich dzieci, z którymi chodziłeś do szkoły. A o niej nikt nic nie wie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jest jakimś zmutowanym Vlhanianinem.

- To z pewnością ułatwiłoby nam zadanie - wtrącił Oskar. - Moglibyśmy po prostu odesłać ją do Baletu i pozwolić, by uległa głosowi natury.

Miałem ochotę zdrowo wygarnąć skurczybykowi, ale ubiegł mnie Dhiju.

- To nie wchodzi w grę.

- W takim razie wyślijmy ją poza planetę. - Oskar wzruszył ramionami. -

Albo zatrzymajmy tu, dopóki Balet się nie skończy.

- Nie mogę tego zrobić. Sprawa nie ogranicza się już tylko do niej. -

Ambasador popatrzył na mnie. - Nie wiem, czy słyszałeś, że Balet odwołano.

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

Wcale mnie to nie zdziwiło.

- Zatrzymali się?

- Stoją jak wryci. Upewniliśmy się dopiero przed godziną. Potrzebowali aż tyle czasu, żeby wyhamować. Po prostu wetknęli centralne bicz w ziemię i czekają. Przesłali już do nas za pośrednictwem Riirgaan wiadomość, że potrzebują jej, żeby zacząć na nowo. Inne delegacje zasypują mnie notami mówiącymi, że powinienem jej na to pozwolić, bo planeta podlega vlhańskiej jurysdykcji.

Pomyślałem o naszych przełożonych, którzy z pewnością chcieliby, żebyśmy ustąpili Vlhaniom z uwagi na przyszłe wzajemne stosunki.

- Takie naciski mogą tylko przybierać na sile.

Wydał z siebie dźwięk pośredni między śmiechem a łkaniem.

- Nie obchodzi mnie, jak będą silne. Nie zgadzam się na akceptację samobójstwa. Jestem zdania, że każdy, kto wybiera taką opcję, z definicji jest niekompetentny do podjęcia podobnej decyzji.

Burza. Świat.

Pomyślałem o wszystkich Vlhaniach, którzy rokrocznie podejmowali taką samą decyzję, przybywali jako otoczeni czią pielgrzymi w miejsce, w którym mieli tańczyć, aż im pęknie serce. Zawsze dostrzegaliśmy w tym rytuale straszliwe piękno... i nigdy nie pomyśleliśmy, że brak im kompetencji, są szaleni albo za głupi, by można im pozwolić na dokonanie wyboru. Czy działo się tak wyłącznie dlatego, że uważaliśmy ich tylko za wielkie pajaki, których nie warto ratować?

Ogień. Miłość. Niebezpieczeństwo.

- Byłem tam z nią, ambasadorze - sprzeciwiłem się, zaniepokojony tą myślą.

- To jedna z najbardziej kompetentnych osób, jakie w życiu spotkałem.

Taniec.

- Nie w tej sprawie. Chodzi o samobójstwo, a ja nie uznaję samobójstwa i nie zamierzam do niego dopuścić.

Spojrzałem na ścianę i na Isadorę. Biegała teraz w kółko, tak szybko, że wydawała się zamazaną plamą. Gdy nagle się zatrzymała, wsparła dłońią o ścianę i zwiesiła głowę, nie potrafiłem uwierzyć, że to zmęczenie. Nie była spocona ani zdyszana. Po prostu dotarła do punktu, w którym zdaniem Marionetek należało się zatrzymać.

- Czy ktoś w ogóle próbował z nią porozmawiać? - zapytałem po chwili.

- Cały czas to robimy. Kazałem ludziom zadawać jej pytania, aż zabrakło im tchu. Nic to nie dało. Ciągłe nam powtarza, żebyśmy się, hm, wyzykali.

Świat. Taniec.

- Z całym szacunkiem, ambasadorze, przesłuchanie to jedno, a rozmowa to coś całkiem innego.

Dhiju omal nie udzielił mi reprimendy, powstrzymał się jednak.

- Nie zaszkodzi spróbować. Jesteś tu jedynym człowiekiem, który ma choć blade pojęcie, jak z nią postępować. Zrób to.

Wszedłem do pomieszczenia.

Izolatkę otoczono jednokierunkowym polem, które z jednej strony było przenikalne jak powietrze, z drugiej zaś lite niczym najtwardsza substancja we wszechświecie. Można było dzięki niemu uwięzić wszystko, uznawane za zbyt niebezpieczne, by mogło przebywać na wolności. Do tej pory oznaczało to bakterie i małe drapieżniki. Przyrządy kontrolne odwracające biegunowość bariery znajdowały się na zewnątrz izolatki, na pulpicie, do którego Oskar i Dhiju mogli z łatwością sięgnąć. Natychmiast po przejściu przez zamykającą wejście srebrzystą zasłonę stałem się więźniem w takim samym stopniu jak Isadora. Nie czułem się jednak uwięziony. Wolałem być z nią niż gdziekolwiek indziej.

Była zwrócona do mnie plecami, zorientowała się jednak w mgnieniu oka.

Poznałem to po tym, że zamarła w szczególny sposób, słysząc moje kroki.

Odwróciła się, zobaczyła mnie i ponownie oparła o przeciwległą ścianę z rezygnacją, która zabołała mnie bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Nie podszedłem do niej, lecz znalazłem sobie neutralne miejsce pod ścianą i spojrzałem na kobietę z bezpiecznej odległości.

- Cześć.

Jej mina mogłaby uchodzić za całkowicie obojętną, gdyby nie gniew lśniący w ciemnych, przenikliwych oczach. Spoglądając w nie, czułem się tak, jakby otworzyła mnie i poddała dokładnym oględzinom, jeden element po drugim.

Podobna inspekcja powinna się wydawać niepokojącym pogwałceniem woli, przekonałem się jednak, że lubię to wrażenie.

- Muszę ci wyrazić uznanie - oznajmiłem swobodnym tonem. - Vlhanianie strajkują, inne delegacje wpadły w szal, nikt tu nie ma pojęcia, kim

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

jesteś, a ja mam tutaj przyjść i wyciągnąć z ciebie informację, której nie udało się zdobyć nikomu innemu. Kim jesteś, skąd przybyłaś, gdzie zdobyłaś te udoskonalenia i jak zdołałaś tu dotrzeć?

Niecierpliwość. Świadomość, że już przez to wszystko przeszła. Że nie odpowiedziała na te pytania wtedy i nie odpowie na nie teraz. Ciekawość tego, co właściwie chcę osiągnąć, podejmując lepiej przemyślaną próbę po kilku nieudolnych.

Potem jednak złożyłem ręce na piersi i oznajmiłem:

- Rzecz w tym, że nic z tego właściwie mnie nie obchodzi. Skądkolwiek przybyłaś, jest to tylko miejsce. Jakkolwiek tu dotarłaś, był to jedynie jakiś środek transportu. A kto wyposażył cię w te udoskonalenia? To zaledwie nazwa firmy. Wszystko to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Zatoczyła z niedowierzaniem oczyma.

- A co ma?

- Dlaczego?

- W dwudziestu pięciu słowach albo mniej?

- Licząc te? Jasne. Zostało ci dziewiętnaście.

Zamrugła kilkakrotnie, licząc wypowiedziane słowa, po czym uśmiechnęła się z uznaniem.

- Pod warunkiem, że uzna się dwadzieścia pięć za dwa słowa. To powinno być jedno.

- Niech będzie. Ale w takim razie zostało ci tylko... hmm...

- Siedem - odparła po prostu. - Naprawdę cholernie kocham to ich przedstawienie.

Niech to szlag, udało się jej, co do słowa. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Oboje rozumieliśmy, że nie powiedziała mi nic, czego bym już nie wiedział, lecz ta mała gierka po prostu sprawiała nam przyjemność.

- Ja też je kocham. Podobnie jak wszyscy na Vlhane i połowa znanego wszechświata. To jednak nie tłumaczy, w jaki sposób udało ci się tak dobrze je zrozumieć... ani dlaczego jesteś tak zdeterminowana narażać życie, tańcząc razem z nimi.

Pogroziła mi palcem.

- Nie, nie, młodzianku. Teraz twoja kolej. Powiedz mi, w dwudziestu pięciu słowach albo mniej, jak możesz kochać przedstawienie, jeśli w ogóle nie kumkasz, o co w nim chodzi.

To pytanie wcale nie wydało mi się nieuprzejme. Pobrzmiwało w nim szczere zdziwienie. Wymierzyłem odpowiedź bardzo starannie, chcąc powiedzieć prawdę i zarazem dorównać jej precyzją.

- Myślę, że... gdybym kochał tylko to, co w pełni rozumiem, byłbym skazany na egzystencję prawie całkowicie pozbawioną miłości. Czasami miłość bywa po prostu... potrzebą zrozumienia.

- To nie jest miłość, młodzianku. To tylko ciekawość. Pozwól sobie na dłuższe zdanie w odpowiedzi na takie pytanie: co czujesz, kiedy oglądasz ich przedstawienie? Czy pojmujesz ich ducha? Kreatywność? Potrzebę doprowadzenia dzieła do końca, nawet za cenę życia?

- Być może. Przynajmniej w części.

- A czemu mierzysz, że nie zrobiłeś z tego bzykanej krwawej masy? Że nie widzisz łez tam, gdzie robaczki chcą przekazać śmiech? I że to rzeczywiście jest wielkie przedstawienie, a nie bzykana modlitwa?

Starąłem się mówić spokojnie, choć było to trudne.

- Czy to właśnie chcesz powiedzieć, Isadoro? Że to nie jest dzieło sztuki?

Potrząsnęła ze smutkiem głową, przesywając mnie spojrzeniem oczu lśniących niczym miniaturowe pola gwiazd. Był w nich ból, całe otchłanie bólu, widać też jednak było arogancję zrodzoną ze zdolności zrozumienia tego, co umknęło tak wielu innym. Oba te uczucia łagodziła słaba, lecz szczera nadzieja, że może jednak uda mi się pojąć.

- Proszę bardzo - rzekłem po chwili. - Może bym powiedział ci, co naszym zdaniem wiemy, a ty mi wyjaśnisz, gdzie popełniliśmy rozpaczliwy błąd?

Wzruszyła ramionami.

- Strzelaj.

- Proszę bardzo. Taniec Marionetek nie jest konwencjonalnym, symbolicznym językiem, jak mowa, lecz holograficznym systemem obrazowania, jak pieśni wielorybów. Faloformy przebiegające po tych ich biczach nie przekazują słów ani pojęć, lecz szczegółowe, trójwymiarowe obrazy. Z pewnością są też one straszliwie skomplikowane, jako że ilość przesyłanej informacji jest ogromna. A jeśli Marionetka potrafi w ciągu dziesięciu sekund intensywnego tańca stworzyć dokładną mapę otoczenia, Balet może zawierać wystarczająco wiele szczegółów, by stworzyć kompletny, zmniejszony model całego układu

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)
planetarnego. Kłopot w tym, że nie udało się nam przetłumaczyć nic poza kilkoma prostymi ruchami, a nawet w tym przypadku wydaje nam się, że celowo przemawiają do nas prosto.
Isadora skinęła głową.
- Masz rację. Realnie to czynią.
Wszystko to wymyśliłem na poczekaniu. Ogarnęło mnie nagłe podniecenie. Byłem przekonany, że znalazłem klucz, który do tej pory się nam wymykał. Pochyliłem się ku niej.
- Ale do ciebie nie musieli przemawiać prosto, zgadza się? Szanowali cię. Przyznali ci miejsce. Jak do tego doszło? Kim dla nich jesteś?
- Kimś, kto kumka, o co im chodzi.
- Jak to możliwe, że rozumiałaś taniec, jeśli nam się nie udało?
- Dlatego, że kumkam, iż chodzi o przedstawienie, a nie bzykany kod. - Gdy zamrugałem powiekami bez zrozumienia, potrząsnęła głową ze znużoną miną. Odnosiłem wrażenie, że zastanawia się, czy milczenie nie będzie jednak lepszą opcją. - Pogłówkuj nad czymś takim - zaczęła wreszcie. - Gdzieś w kosmosie żyje taki gatunek, którego nazwy moje usta nie potrafią wypowiedzieć. To żałośnie nudne istoty... istne żywe segregatory... ale ludzki pomysł kalamburu doprowadza je do bzykanego szału. Myśl, że jedno zdanie może zagrać dwa różne tony, wydaje się im tak samo magiczna jak nam taniec robaczków. Ich najtęższe umysły trudzą się całymi latami, próbując coś przeniknąć. Można kupić całe biblioteki książek, które naskrobali na ten temat.
Przypomniałem sobie, że kiedyś, dawno temu, słyszałem albo czytałem o takim gatunku.
- I co z tego?
- To, że zbzykali całą sprawę. Nie kumkają, co to żart, i nie wiedzą, że kalambury mają być zabawne. Wyobrażają sobie, że to coś w rodzaju zen... jak by to ująć, pełen ironii ludzki komentarz na temat tego, że wszystko jest jedną wielką całością. Kiedyś widziałam, jak para tych tępych łbów analizowała starą terrańską komedię o zawodowych sportowcach z porąbanymi nazwiskami, które brzmiały jak pytania: kto, co, dlaczego i tak dalej. Nie wydawało mi się to szczególnie śmieszne, ale kumkałam, że to ma być głupie, a oni nie. Przysięgam ci, Alex, zachowywali się jak dwaj matematycy rozwiązujący równanie. Tak samo jak wy, patrzyli tylko na mechanizm, a zapominali o kontekście.
Niech to szlag, naprawdę coś wiedziała. Podszedłem do niej.
- Opowiedz mi o tym kontekście. Nie musisz mówić wszystkiego, jeśli nie chcesz, ale zdradź mi jakiś klucz.
Uśmiechnęła się do mnie z błyskiem wesołości w oczach, które wiedziały więcej, niż ja kiedykolwiek miałem się dowiedzieć.
- A czy to pozwoli mi wrócić do przedstawienia?
Mimo woli spojrzałem na gładką ścianę, za którą kryło się zewnętrzne laboratorium. Nie musiałem widzieć ambasadora Dhiju, by się domyślić, co robi po drugiej stronie. Siedział w fotelu z głową wspartą na splecionych dłoniach i z przymrużonymi oczyma czekał, czy złożę jakieś obietnice, których nie będzie mógł mi pozwolić dotrzymać. Zapewne namawiał mnie w myślach, bym to uczynił. Jak wszyscy zawodowi dyplomaci, całe życie naciągał prawdę, nadając jej kształt najlepiej odpowiadający potrzebom chwili, i gdybym zrobił teraz to samo, nie widziałaby w tym nic złego. Nie był jednak w amfiteatrze z Isadorą, tak jak ja, nie próbował wymienić swego życia za jej życie i nie skorzystał z poświęcenia, którego dokonała, by mnie ratować. Dlatego nie mógł wiedzieć, że nigdy bym jej nie okłamał. Zbliżyłem się do szczerości tak bardzo, jak tylko się odważyłem. Nie powiedziałem nic.
Zrozumiała mnie, oczywiście. Nie mogło być inaczej. I choć z pewnością znała odpowiedź, nim jeszcze zadała pytanie, cios był ciężki. Spuściła głowę i odwróciła wzrok, nie chcąc, bym zobaczył, co pojawiło się w jej oczach.
- A więc krwawa masa. Nie powiem ani bzykanego słowa, dopóki nie pozwolicie mi wrócić.
- Ale...
- To koniec.
Po chwili dotarło do mnie, że powiedziała prawdę. To była jedyna sprawa, która ją obchodziła i na której temat chciała negocjować. Wszelkie próby udawania, że jest inaczej, byłyby dla niej obelgą. Skinąłem głową i ruszyłem w stronę drzwi, czekając, aż Oskar odwróci biegunowość pola i pozwoli mi wyjść.

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

Okazało się jednak, że byłem w błędzie. To wcale nie był koniec. Została między nami jeszcze jedna niezawalowana sprawa. Było coś, o co musiała zapytać, nim się ze mną pożegna.

- Alex?! - zawołała.

Spojrzałem na nią.

- Słucham?

Nie patrzyła mi w oczy. spuściła wzrok, jakby chciała przebić nim podłogę i ziemię, by ujrzeć scenę, od której dzieliła nas już połowa doby.

- Czy wtedy, na przedstawieniu, to była tylko kurzawka? Czy naprawdę... zatańcowałbyś z robaczkami i ze mną... gdybym nie odleciała z tobą w tym śmigaczu?

- Oczywiście. Nie ruszyłbym się stamtąd bez ciebie.

Skinęła głową sama do siebie, jakby usłyszała odpowiedź na pytanie, którego nikomu nie chciało się zadać głośno... a potem potrząsnęła głową i rozciągnęła usta w oszałamiającym uśmiechu.

- W takim razie zasługujesz na to, by dowiedzieć się przynajmniej tyle - rzekła w bezbłędnym ludzkim standardowym. - Balet nie kończy się każdego roku, gdy umiera ostatni tancerz. Pomyśl o... powidoku.

7. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero wówczas, gdy było już po wszystkim, lecz pierwszą krew przelano na bagnistym półwyspie ponad tysiąc kilometrów od ambasady. Była to okolica równie niegościnna dla Vlhian i dla ludzi. Grząski grunt z łatwością mógł pochłonać wędrowców obu gatunków.

Doktor Kevin McDaniel oficjalnie nie był pracownikiem ambasady. Był egzobotanikiem, który przybył na Vlhian w ramach niezwiązanego z naszą działalnością komercyjnego projektu, który miał coś wspólnego z pewną cuchnącą trzcina rosnącą na bagnach. Niewykluczone, że owa praca była ważna, nie fascynowała nas jednak tak jak tajemnice Vlhian, które McDaniela z kolei nie obchodziły w ogóle. Pamiętaliśmy o jego obecności na planecie jedynie dzięki temu, że był okropnym niezużyciem i gdyby ktoś z nas nie dotrzymywał mu cały czas towarzystwa, z pewnością pograżałby się w mule i nie byłoby komu go wyciągnąć. Była to nielubiana służba, która przynajmniej raz przypadła w udziale każdemu niższemu rangą niż Dhiju pracownikowi ambasady. Często żartowaliśmy na ten temat.

Owego dnia opiekunką McDaniela była młoda, pulchna, energiczna analityczka regularności zwana Li-Hsin Chang, która zaczęła służbę rok po mnie.

Li-Hsin gorzko się żaliła na grafik, z powodu którego zamiast obejrzeć Balet, musiała włożyć się cały tydzień po bagnach w towarzystwie najnudniejszej istoty rozumnej na całej planecie. Niezwykłe wydarzenia, do jakich doszło w amfiteatrze, pogorszyły tylko jej samopoczucie. Siedziała w unoszącym się pięć metrów nad ziemią śmigaczu, obserwując zajętego swymi tajemniczymi czynnościami McDaniela, i podłączona do hytexu śledziła wszystkie najnowsze biuletyny z wiadomościami o mnie, Isadorze i vlhańskim kryzysie.

Mozna jej więc wybaczyć, że nie zauważyła Vlhianina, dopóki nie znalazł się tuż obok botanika.

Tubylcy osiągają wagę do tysiąca kilogramów, ich sposób poruszania się sprawia jednak, że większa część ciężaru ciała unosi się wysoko ponad ziemią, dzięki czemu nawet rozwijając pełną prędkość, robią zdecydowanie mniej hałasu niż biegnący człowiek. Nie chodzi o to, że celowo się skradają. Po prostu cechują się ogromną, wrodzoną gracją. Co prawda, gdy poruszają się z pluskiem przez grząskie bagno, są nieco głośniejsi niż wtedy, gdy galopują po twardej, ubitej ziemi, nigdy jednak się nie potykają, nie stawiają błędnych kroków i nie produkują nawet decybelą hałasu, który nie jest absolutnie konieczny. Odgłos kroków Vlhianina zagłuszyły buczenie silnika śmigacza oraz pluskanie poruszającego się niezgrabnie po moczarach doktora McDaniela. Gdy Li-Hsin usłyszała szczególnie gwałtowny plusk, wysunęła głowę z pojazdu i zobaczyła, że McDaniel oddalił się tylko o kilka metrów od miejsca, w którym powinien się znajdować. Potem usłyszała kolejny jeszcze głośniejszy odgłos, dobiegający z północy.

Dorośli, wyposażony w dziesięć biczów Vlhianin zbliżał się z pełną prędkością. Biegł tak, jak zawsze robią to tubylcy, gdy wkładają w tę czynność wszystkie siły. Jego bicze kręciły się niczym szprychy koła, którego piastę stanowiła wielka czarna głowa. Istota gnała tak szybko, że jej witki zdawały się tworzyć spowijającą ją szarą chmurę. Tak szybko, że wydawało się, iż leci. Pędziła prosto na nich.

Li-Hsin można również wybaczyć to, że w pierwszej chwili nie zorientowała się, iż Vlhianin jest wrogo nastawiony. Po pierwsze, nie było czymś

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

nieślęchanym, by wielki, dorosły tubylec biegał sobie po bagnie. Choć zdarzało się to rzadko, niekiedy oddalali się oni znacznie od swych siedlisk. Nie dalej jak przed paroma dniami widziała kopulującą parę. Po drugie, Vlhania nie po prostu nie bywali wrogo nastawieni. Podczas Baletu mogli być zbyt niebezpieczni, by się do nich zbliżać, to jednak charakteryzowało Balet, nie Vlhania. W codziennym życiu byli niezwykle delikatni. Li-Hsin już od dwóch lat stykała się z nimi bez jakiegokolwiek ochrony i żyła się z tymi, których widywała najczęściej. Jednego czy dwóch uważała nawet za przyjaciół - jeśli w ogóle było to możliwe, skoro maksimum możliwości naszych upręży stanowiło przekazywanie w obie strony memu "przyjaciel". To jej wystarczało. Mnie również. Wszystkim nam wystarczało.

Dlatego nawet gdy zorientowała się, że doktor McDaniel stoi na drodze tubylca, nie przyszło jej do głowy, że może to być celowy atak.

Ograniczyła się do tego, że włączyła wzmacniacze i zawołała:

- Mac! Zejdź mu z drogi!

McDaniel, który był zbyt pochłonięty swymi pomiarami, by zauważyć bądź usłyszeć wielkiego Vlhania, podniósł wzrok ku śmigaczowi z irytacją na bladej, spoconej twarzy. Gdy zauważył istotę, zamarł otępiały, nie mogąc uwierzyć, że spotyka go coś takiego, po czym pojął, że za chwilę zostanie stratowany i uskokzył na bok, wpadając brzuchem naprzód do głębokiej sadzawki. Zanurzył się w niej i nie wypłynął na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Bicz Marionetki smagnęły mu w miejscu, gdzie przed chwilą stał, z siłą, która zrobiłaby z niego miazgę. Obcy nawet nie zwolnił. Dopiero gdy oddalił się o dziesięć metrów, Li-Hsin zdążyła krzyknąć:

- MAC!

Złapała za ster i opadła nad wodę w miejscu zniknięcia botanika. Po chwili McDaniel wynurzył się na powierzchnię. Kaszlał, pluł wodą i machał wściekle rękami, lecz poza tym nic mu się nie stało. Miała już zamiar opaść jeszcze niżej, żeby go zabrać, lecz nagle uczony zauważył, że odległy o pięćdziesiąt metrów Vlhaniain zawrócił i ruszył do kolejnej szarzy. W przeciwieństwie do Li-Hsin nie wiedział o tubylcach zupełnie nic i nie musiał pozbywać się fałszywych wyobrażeń na ich temat, natychmiast więc zrozumiał, że to autentyczny atak i że Li-Hsin nie zdąży go usunąć z drogi szarżownika.

- Uciekaj! On zawraca! - zawołał, wymachując gorączkowo rękami.

Li-Hsin podniosła wzrok i zobaczyła, że McDaniel ma rację. Nawet gdyby nie była jeszcze pewna zamiarów Obcego, jego szybkość położyła kres wątpliwościom. Gdyby chodziło o wypadek, Vlhaniain zwolniłby i zawrócił z przesadną ostrożnością, zwieszając głowę pod kątem, który wszyscy już nauczyliśmy się rozpoznawać jako przejaw wyrzutów sumienia.

- KRYJ SIĘ! - krzyknęła, spoglądając na McDaniela.

- NIE...! - zawołał botanik, było już jednak za późno, by Li-Hsin mogła go usłyszeć.

Zawróciła płynnym ruchem śmigacz, wycelowała maszynę w zbliżającego się Vlhaniaina i kazała jej przyspieszyć. Zrobiła to bez zastanowienia i bez wahania, w akcie desperackiej pomysłowości, jaką cechują się ludzie, którym nie pozostało już żadne inne wyjście. Czołowe zderzenie z pędzącym z taką prędkością śmigaczem uśmierciłoby nawet największą Marionetkę.

Li-Hsin z pewnością zdawała sobie sprawę, że ona również by zginęła.

Zapewne liczyła na to, że Obcy straci odwagę i ucieknie.

Tak się jednak nie stało. Na moment przed zderzeniem Marionetka skoczyła w górę i wylądowała na dachu maszyny. Dwa z jej biczów złamały się w chwili zderzenia, a trzeci gładko odciął wirniki śmigacza, pozostałe jednak zamortyzowały lądowanie. Łącza neurorejestracyjne, które tak sprawnie uwieczniły wszystko, co do tej pory czuła i robiła Li-Hsin, teraz udokumentowały bezradne zdumienie, jakie ogarnęło ją w chwili, gdy znalazła się wewnątrz klatki z wijących się biczów. Tuż przed nią pojawiła się na chwilę głowa Marionetki. Potem zniknęła i przez kabinę śmignął bicz, który pozbawił kobietę prawej ręki.

Horyzont na zewnątrz kręcił się niczym bąk.

Potem śmigacz runął do bagna i zarówno Li-Hsin, jak i Marionetka zostały natychmiast zdekapitowane.

McDaniel potrzebował czterech godzin, by wygrzebać z błota hytex i wezwać pomoc. Ci z nas, którzy jeszcze żyli, nie mieli już wtedy czasu go słuchać.

8. Jedyнным zagadnieniem, które udało się komuś rozwiązać, nim wszystko

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

poszło w diabły, była kwestia, w jaki sposób Isadora zdołała się dostać na Vlhán. To Rory Metcalf przypomniała sobie dostawczy transportowiec, który przed ośmioma miesiącami wszedł w atmosferę w odległości połowy obwodu planety od miejsca przeznaczenia i omal nie wylądował, lecz nagle z jakiegoś powodu ktoś z załogi zdał sobie sprawę z pomyłki, a maszyna wzbijała się w górę i pokonała resztę drogi na wysokości pięćdziesięciu tysięcy metrów. Mogłoby się to wydać nam podejrzane, wszyscy jednak uznaliśmy wiecznie się ze sobą kłócących pilotów za parę nieudaczników pozbawionych talentu do tej pracy. Gdy Rory sprawdziła ich licencje, okazało się, że już kilkakrotnie aresztowano ich za przewożenie niezarejestrowanych pasażerów. Był to niezły przykład dedukcji, który zapewne pozwolił nam rozwiązać drobny element zagadki, lecz nie wyjaśnił absolutnie nic.

Zresztą może nawet udałoby się nam rozgryźć ważne części tajemnicy, ale nie mieliśmy już czasu.

Ulokowaliśmy ambasadę na izolowanym płaskowyżu, zbyt wysokim i chłodnym, by Vlhánianie czuli się tam dobrze. Wybraliśmy to miejsce nie dlatego, że obawialiśmy się o własne bezpieczeństwo, lecz ze zwykłej uprzejmości i szacunku dla ich prywatności. Ostatecznie, mogliśmy w ciągu trzech godzin dotrzeć do każdego zakątka ich planety i spotykać się z tubylcami tak często, jak zechcą nam na to pozwolić, bez potrzeby zajmowania użytecznych dla nich terenów. Dlatego - podobnie jak Riirgaanie, K'icenhowteni, Cidowie i cała reszta gatunków mających tu ambasadę - umieściliśmy nasze skupisko budynków daleko od szlaków migracyjnych. Na ogół Vlhánianie odwiedzali nas tam najwyżej raz czy dwa razy do roku. Gdy wychodziliśmy z prefabrykowanych domów, które składały się na kompleks ambasad, i spoglądaliśmy na ciągnące się wokół szare, pofałdowane wzgórza, czuliśmy się tak osamotnieni, jakbyśmy byli jedynymi istotami rozumnymi na planecie.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj, gdy kilku z nas zrobiło sobie przerwę, by popatrzeć na vłhański zachód słońca, zobaczyliśmy krajobraz usiany tysiącami pajaków. Te, które widzieliśmy, zbliżały się z zachodu. Z innych ambasad napływały meldunki, że tłumy tubylców nadciągają ze wszystkich stron, stada zbliżające się z zachodu były jednak najbliżej i dlatego zobaczyliśmy je najpierw. Marionetki nie nadciągały w zwartym szyku, jak armia, lecz pojedynczo, po dwie albo trzy niczym nieznanymi przypadkowo zmierzający w tym samym kierunku. Obcy poruszali się tak szybko, że gdy osiągnęli szczyt wzgórza, zawsze wyskakiwali w górę niczym rozpędzony narciarz. Świecące z tyłu słońce zmieniało ich wydłużone cienie w surrealistyczne sploty. Nieliczni, którym udało się już dotrzeć do podstawy płaskowyżu, kłębili się tam, zadowolając wymachiwaniem biczami w sposób żywo przypominający gniewne potrząsanie pięściami.

- Tubylcy się burzą - oznajmiła Kathy Ng ze szczególną emfazą, jaką zawsze stosowała, cytując starożytną literaturę przygodową, którą tak bardzo kochała. Tego cytatu nigdy dotąd nie słyszałem.

- Myślisz, że będziemy musieli z nimi walczyć?

- Z pewnością wygląda na to, że chcą nas skłonić do walki. - Przygryzła dolną wargę tak mocno, że aż zbieła. - Mam szczerą nadzieję, że to tylko ich tradycyjny taniec budzący postrach dwunogów albo coś w tym rodzaju.

- Tradycyjny czy nie, ale z pewnością skuteczny.

Nasz naczelny egzopsycholog, doktor Simmons, cmoknął protekcjonalnie.

- To etnocentryzm, moi drodzy. Nie możemy zakładać, że są wrogo nastawieni tylko dlatego, że tak to wygląda w naszych oczach. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że odkąd tu przebywamy, nikt nigdy nie widział, by jakikolwiek Vlhánianin okazał podczas konfliktu agresywną lub gwałtowną reakcję.

- A co z Baletem?

- Rzeczywiście jest gwałtowny... ale to nie jest konflikt, lecz wysoce stylizowany, starannie zaaranżowany doroczny rytuał. Każdy krok jest wyreżyserowany, co oznacza, że ma tyle samo wspólnego z typowym vłhańskim zachowaniem, co wasze przyjęcie urodzinowe z tym, co robicie przez pozostałe czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć dni w roku.

- To by mnie pocieszyło - zauważyła Rory Metcalf - gdyby nie pewien drobiazg.

- A mianowicie jaki?

- Tegoroczny Balet z pewnością nie był typowy.

Wszyscy natychmiast zaczęli się spierać, lecz nie zdążyłem usłyszeć prawie nic z ich dyskusji, gdyż akurat w tej chwili z głównego budynku wypadł Oskar Levine, który oznajmił, że wzywa mnie Dhiju. Zawahałem się na

Castro Adam-Troy - Zalobny marsz Marionetek(txt)

chwile, by raz jeszcze spojrzeć na gromadzącą się w dole armię Marionetek. Zadałem sobie pytanie, jak długo zdołamy je powstrzymać, jeśli okaże się to konieczne, i uświadomiłem sobie, że nie będziemy w stanie nawet spowolnić ich natarcia. Byliśmy pokojową ambasadą na spokojnym świecie i nie mieliśmy nic, co można by wykorzystać do walki, poza kilkoma bezużytecznymi w tym przypadku sztukami broni ręcznej. Równie dobrze moglibyśmy zacząć gromadzić kije i kamienie... Jeśli dojdzie do najgorszego, wszyscy z pewnością zginieemy.

Zadrżałem i poszedłem do Dhiju.

Dziwna sprawa. Biurka jako praktyczne meble biurowe są przestarzałe od z górą tysiąca lat. Były przydatne wtedy, gdy większą część pracy wykonywano na papierze albo na ekranach monitorów, które powinny się znajdować mniej więcej na wysokości oka, ale ponieważ tak już nie jest, meble te nie są na tyle użyteczne, by warto było poświęcać im aż tyle miejsca. Używa się ich nadal wyłącznie z uwagi na skuteczne oddziaływanie psychologiczne. Wielki gładki blat ma w sobie coś, co niesłychanie wzmacnia autorytet zasiadającej za nim osoby. Ludzie tacy jak Dhiju wiedzą o tym znakomicie. Gdy wbiegłem do gabinetu, ambasador siedział za biurkiem i spoglądał z za niego groźnie jak ze szczytu Olimpu.

Wskazał na hytexową projekcję, która unosiła się w powietrzu obok jego biurka. O pierwszeństwo walczyły w niej cztery różne transmisje: panoramiczny obraz amfiteatru, w którym wciąż stali bez ruchu uczestnicy Vlhńskiego Baletu, cierpliwie oczekujący na wznowienie przedstawienia; zbliżenie skupiska Vlhian u stóp płaskowyżu; przekaz kontrolny z izolatki Isadory, która spokojnie ćwiczyła unoszenie nóg zginających się w wielu stawach; i na koniec zbliżenie Hurr'r'potha, który miał minę tak poważną, jak tylko pozwalała na to uboga w mimikę riirgańska twarz. Nie byłem pewien, na który z obrazów powinienem patrzeć, dopóki całego pola widzenia nie wypełnił Hurr'r'poth. Olbrzymia głowa zwróciła się w moją stronę.

- Alex - usłyszałem głos. - Pornograf.

- Hurr'r'poth - odpowiedziałem. - Zbrodniarz.

wydobył z siebie tryl, który wydał mi się riirgańskim odpowiednikiem wymuszonego śmiechu. Trwał nieco za długo i nie słyszało się w nim wesołości.

- Dziękuję, że przyszedłeś, Alex. To bardzo ważny przekaz, a ponieważ byłeś z Isadorą w środku Baletu, doszedłem do wniosku, że możesz spojrzeć na tę sprawę z większą przenikliwością niż wasz ambasador Dhiju... swoją drogą, czy ci nie przeszkadzam?

Spojrzałem na Dhiju i zauważyłem jedynie gniew. Nie miałem pojęcia, o co tu chodzi.

- Hmm... nie. W czym mogę ci pomóc?

- Możesz mnie wysłuchać - odpowiedział Hurr'r'poth. - Przed chwilą poinformowałem waszego ambasadora Dhiju, że przemawiam nie tylko jako tłumacz wybrany przez naród Vlhian, lecz również jako uprawniony przedstawiciel wszystkich pozostałych ambasad na Vlhianie. Mieszkańcy planety już od kilku godzin przekazują nam swe życzenia w tej sprawie i na ich prośbę składamy oficjalny protest przeciw ingerencji waszej ambasady w sprawę tubylczej kultury.

Dhiju jęknął zatrwożony.

- To zupełnie jak z Kafki.

- Nie znam tego terminu, ambasadorze. Vlhianie starają się być bezstronni. Rozumieją, że panu i Alexowi brakowało danych i dlatego podjęliście próbę ratowania życia przedstawiciela waszego gatunku. Zdają sobie sprawę, że w tej sytuacji było to naturalne zachowanie i nie mają wam za złe, że zrobiliście coś, co wydawało się wam wówczas słuszne. Nawet was za to szanują. Są też jednak przekonani, że udowodnili wam, iż uważają uczestnictwo kobiety zwanej Isadorą za integralny element tegorocznego Baletu... i że nieodpowiedzialnie zabraniając jej powrotu do amfiteatru narażacie na niepowetowaną szkodę najświętszy rytuał całej ich kultury. Żądają natychmiastowego wydania Isadory, co pozwoli na wznowienie Baletu.

- A czy ona ma zginąć tak samo jak oni?

- Oczywiście - odparł Hurr'r'poth.

- W takim razie moja odpowiedź brzmi "nie" - oznajmił Dhiju.

- Ingeruje pan w tradycję, która trwa od setek pokoleń.

- Bardzo mi przykro z tego powodu, panie Hurr'r'poth. To nie jest tradycja Isadory. Ona jest istotą ludzką i jej tradycja odrzuca samobójstwo. Nikt jej nie upoważnił do przybycia tutaj, a ja z pewnością nie zamierzam

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)
firmować jej uczestnictwa w ceremonii, która skończy się dla niej śmiercią. Vlhania będą po prostu musieli to zrozumieć.
Tym razem tryl Hurr'r'potha brzmiał szczerze, lecz była to gorzka, posępna wesołość, jakiej nigdy bym się nie spodziewał po istocie, którą uważałem za nieszkodliwego ekscentryka.

- Ambasadorze, jest pan idiotą.

Naturalne pragnienie okazania gniewu walczyło w Dhiju z profesjonalnym obowiązkiem uprzejmego traktowania wszystkich członków obcych delegacji.

- Dlaczego pan tak sądzi?

- Nie w pańskiej gestii leżało zatwierdzenie pobytu Isadory na Vlhanie. To prawo przysługuje wyłącznie Vlhaniom, jako że ten świat podlega ich jurysdykcji. Tubylcy z pewnością ją do tego upoważnili i przyznali jej istotne miejsce w swym Bałecie. Jeśli uważa pan, że ma wyłączne prawo rozstrzygania, komu wolno, a komu nie wolno tu przebywać, świadczy to tylko o tym, że rozumie pan ten gatunek jeszcze słabiej od własnego, a jeśli nadal pan uważa, że ta młoda dama nie wie, co robi, to własny gatunek również zna pan nader kiepsko. Jeżeli zamierza pan uporczywie trwać przy swym stanowisku, rozgniewa pan tylko Vlhania jeszcze bardziej. To pan będzie odpowiedzialny za wszystko, co wydarzy się potem.

- Chcesz powiedzieć, że nas zaatakują? - przerwałem mu, łamiąc protokół. Hurr'r'poth spojrział mi prosto w oczy.

- Tak.

Nie mogliśmy wówczas wiedzieć, że do pierwszego starcia już doszło. Ani ja, ani Dhiju nawet nie pomyśleliśmy o Kevinie McDanielu i Li-Hsin Chang, którzy przebywali na drugim końcu świata, daleko od obszarów zamieszkałych przez tubylców.

- Rozumiem - odezwał się po chwili Dhiju. - Skontaktuję się z panem ponownie, gdy tylko naradzę się z moimi pracownikami.

- Popełnia pan straszliwy błąd! Vlhania...

Dhiju nacisnął kciukiem leżącą na biurku poduszeczkę. Hytexowa projekcja zwinęła się, przerodziła w pyłek czerni wielkości ziarnka grochu, a potem zniknęła. Dhiju wysunął dolną wargę i wydał z siebie zrodzone gdzieś w głębi gardła "t-t-t-t-t", poza tym jednak trwał w bezruchu, najwyraźniej dopatrując się głębokiego znaczenia w kształcie swych dłoni złożonych na gładkim blacie.

- Susan - odezwał się wreszcie i nowa hytexowa projekcja zastąpiła tę, która przed chwilą zniknęła. Tym razem był to nieruchomy obraz kilkunastoletniej dziewczyny. Miała świeżą, lecz bladą twarz i uśmiechała się w sztuczny sposób, typowy dla wszystkich portretów od początku czasu, bez względu na metodę wykonania.

- Moja córka - oznajmił.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć.

- Jest ładna - skłamałem.

- Tak sądzisz? Prawda wygląda tak, że odkąd skończyła dziewięć lat, prawie przestałem ją widywać. Moje małżeństwo z jej matką okazało się fatalną pomyłką i łatwiej mi było trzymać się z daleka. Dlatego wyjeżdżałem na jedną pozaświatową placówkę po drugiej. Dostawałem listy i wideozapisy, ale spędzałem z nią najwyżej parę miesięcy w roku. I nagle, pewnego dnia, gdy miała piętnaście lat, jakiś kolega na imprezie zapoznał ją z najnowszą pozaświatową atrakcją, czymś w rodzaju... wibrującego klejnotu... który bezpośrednio pobudza ośrodki przyjemności w mózgu... - Dhiju zadrżał. - To trwało sześć miesięcy, Alex. Sześć miesięcy powolnego samobójstwa, dzień po dniu. Sześć miesięcy, a ja o niczym nie wiedziałem. Dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy wróciłem do domu i przekonałem się, że jej już nie ma. Siedział przez chwilę zamyślony, pozwalając, by oskarżała go powiększona twarz Susan o przyklepionym, pozbawionym radości uśmiechu.

- Raz na pewien czas jakiś biedny skurczybyk musi podjąć straszliwą decyzję, która zniszczy jego karierę i spowoduje, że jego nazwisko na całe stulecie stanie się przekleństwem - odezwał się nagle. - Idź zawiadomić resztę, że ewakuujemy ambasadę. Termin za godzinę. Zabieramy małego pasażera na gapę ze sobą i zostawiamy wszystko, czego nie zdążymy spakować. Polećmy transportowcami na orbitę i wezwiemy statek, który zabierze nas do domu.

Serce waliło mi tak mocno, że aż boleśnie. Podeszedłem do Dhiju, spojrzałem w jego szare, zażławione oczy i wykrztusiłem z siebie to, co już wiedział.

- Nigdy nie pozwolą nam tu wrócić. Zniszczy pan nasze stosunki z

Vlhaniami i wszyscy w domu oskarżą o to pana. Wie pan o tym.

- Wiem. - Spoglądał gdzieś w dal, poza mnie, projekcję, ścianę i cały

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

zaostrzający się wokół nas kryzys. - Ale przynajmniej tym razem będę na miejscu i uda mi się ją uratować.

9. Czarna horda Vlhánian pokrywała wzgórze niczym muchy. Choć zgodnie z wszystkimi relacjami nigdy nie widziano tak wielu w jednym miejscu, w ich ruchach nadal dawało się zauważyć precyzyjną choreografię. Nawet gdy ruszali na wojnę, wszystko, co robili, pozostawało tańcem, aczkolwiek był to taniec innego rodzaju, pozbawiony gracji i elementów baletu. Przypominał raczej marsz śmierci. Ich płynny zwykle sposób poruszania się przerodził się w coś pozbawionego radości i sztywnego, co wydawało się tak samo wymuszone i nienaturalne jak krok defiladowy u ludzi. Najczęściej skupili się na skalistym terenie u podstawy płaskowyżu, gdzie byli stłoczeni znacznie ciasniej, niż zdarzało im się to w amfiteatrze, nie wychodzili jednak poza linię skał, nawet wtedy, gdy rywalizacja o miejsce doprowadzała do tego, że rozpłaszczali się jak przyciśnięci do niewidzialnej ściany. Jeśli ta bariera runie, fala Vlhánian wedrze się na stok i ogarnie nas w niespełną minutę.

Pracownicy ambasady nie rzucali się zbyt w oczy. Wszyscy gorączkowo przygotowywali się do ewakuacji. W pierwszej kolejności wynosili żywność ze spiżarni, leki z izby chorych, akta oraz sprzęt z laboratorium, wszyscy jednak byli ludźmi, poświęcili więc kilka cennych sekund na powrót do swych kwater po osobiste rzeczy, których nie umieli zostawić. Nie było tego wiele. Kontraktowi dyplomaci nie mogą sobie pozwolić na wleczenie ze sobą mnóstwa kłopotów. Ja miałem tylko kieszonkowy hytex oraz kawałek odciętego vlhánskiego bicz, który zabrałem z amfiteatru po zeszłorocznym Balecie. Regularnie poddawałem go napromieniowaniu, by powstrzymać rozkład, lecz mimo to działanie czasu dawało się odczuć. Chityna, ongiś twardsza niż stal, zrobiła się miękka, gąbczasta i spękana. Przed zaledwie kilkoma dniami niegodna część mojej osobowości z niecierpliwością oczekiwała kolejnej masakry, po której mógłbym znaleźć w amfiteatrze nowy fragment sznura i uwiecznić go w trwałym szkłe. Zadrżałem na to wspomnienie i zostawiłem stary bicz na półce obok łóżka. Pochodził od Vlhánianina i jeśli naprawdę opuszczaliśmy planetę, powinienem go tutaj zostawić.

Mieliśmy już tylko dwadzieścia minut i mnie, jako najlepszemu ekspertowi od Isadory, przypadło w udziale zadanie wymyślenia sposobu, który pozwoli nam bezpiecznie doprowadzić ją do transportowca. Dzięki udoskonaleniom potrafiłaby sobie poradzić w bezpośrednim starciu z każdym z nas. Gdyby postanowiła stawić opór, z łatwością mogłaby się okazać równie groźna jak Vlhánianin. Narkotyki nie wchodziły w grę - miała w sobie tak wiele sztucznych elementów, że nikt nie potrafił określić wysokości bezpiecznej dawki i czy w ogóle zadziałałaby na niezmodyfikowane części jej anatomii. Nie mieliśmy też w ambasadzie nic, czego moglibyśmy użyć do jej skrepowania bądź wykorzystania jako broń.

W końcu złapałem Oskara Levine'a - jak już wspominałem, nie przepadałem za nim zbyt, ale był jedyną osobą, która akurat nie miała nic do roboty - i uzbroiłem go w dwa zbiorniki sprężonej kriopiany z izby chorych. Węże przytwierdził sobie do ramion. Zawsze woziliśmy tę substancję w śmigaczach na wypadek, gdyby ktoś został ranny w terenie, w ambasadzie jednak nie używaliśmy jej od zeszłego roku, kiedy to Cecilia Lansky zapadła na rzadką postać raka, której mogliśmy wyleczyć na miejscu i byliśmy zmuszeni chorą zamrozić do czasu, gdy będzie ją można odesłać do domu. W dwóch zbiornikach znajdowało się wystarczająco wiele piany, by unieruchomić dorosłego Vlhánianina. Jeśli Isadora spróbuje ucieczki, Oskar ją zamrozi. Próbował mnie przekonać, bym nie wchodził do środka.

- Użyj interkomu. Wyłącz pole i każ jej wyjść na zewnątrz. Załatwię ją w przejściu. Mogę to zrobić szybko i bez problemu.

- Wiem. Nadal jednak mam nadzieję, że uda mi się odkręcić sprawę. Chcę z nią porozmawiać.

Obrzucił mnie spojrzeniem, które większość ludzi rezerwuje dla nieuleczalnych idiotów.

- Jeśli wyjdziecie razem i nie będę widział powodów, żeby jej ufać, zamrozę was oboje.

- Mogę na to przystać pod warunkiem, że potem mnie załadujesz na transportowiec.

- Świetnie - prychnął. - Jakbym miał za mało roboty.

- Oskar...!

- To był żart, głąbie. Nie martw się, zadbam o ciebie.

Rozłożyła składane łóżko wbudowane w tylną ścianę, zwinęła się na nim w

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)
kłębek i zasnęła. W jej sytuacji było to rozsądne zachowanie, ale ja poczułem się zaskoczony pierwszym autentycznie ludzkim gestem, jaki u niej zaobserwowałem. Z jakiegoś powodu podświadomie uznałem, że zastawiła podobne potrzeby za sobą, jak każda bezbłędnie zaprojektowana maszyna. Teraz jednak nie przypominała maszyny ani nawet dorosłej osoby. Z zamkniętymi oczyma, kolanami podciągniętymi pod brzuch i dłońmi mocno złączonymi pod podbródkiem wyglądała jak mała dziewczynka śniąca o zaczarowanych królestwach. Tatuże na policzkach można było wziąć za barwy wojenne, element dziecięcej zabawy. Ów widok coś we mnie poruszył. Z czymś mi się skojarzył. Ta myśl nie skonkretyzowała się jednak jeszcze, nie nabrała kształtów.

Uklęknąłem przy niej.

- Isadoro.

Złudzenie normalności prysło, gdy dziewczyna rozprostowała ramiona i nogi tak płynnie, jakby w ogóle nie miała w nich kości. Gdy tylko otworzyła oczy, natychmiast skupiła spojrzenie na mnie. Moja obecność nie zaskoczyła jej nawet w najmniejszym stopniu. Nie obawiała się niczego, co mógłbym jej powiedzieć. Na ustach Isadory błąkał się cień uśmiechu zdradzający zaskakujące ciepło. Nie wstała, ale po prostu zwróciła się ku mnie, leżąc na łóżku.

- Alex.

- Pomyślałem sobie, że zechcesz wysłuchać raportu o najnowszych wydarzeniach.

Nawet nie mrugnęła.

- To różowiutko z twojej strony.

- Vlhaniańie otoczyli ambasadę. Dhiju praktycznie złamał sobie karierę, wydając rozkaz ewakuacji. Pakujemy się, zmiatamy stąd i zabieramy cię ze sobą.

Przycisnęła zwinięte ramiona nieco mocniej do piersi.

- Nie chcę stąd nigdzie odchodzić.

- Akurat - odparłem cicho. - Kimkolwiek jesteś, Isadoro, z pewnością nie jesteś głupia. Wiedziałaś, że obserwowaliśmy Balet, zdawałaś sobie sprawę, że z pewnością cię zauważymy i że honor nakaże nam spróbować cię powstrzymać. Z pewnością byłaś również świadoma tego, jak zareagują Vlhaniańie, jeśli nam się uda. Mogłabyś zapobiec całemu temu kryzysowi, gdybyś tylko wyjaśniła nam wszystko z góry albo przebudowała się tak bardzo, że nie moglibyśmy cię odróżnić od Vlhaniańianina. Wolałaś jednak pojawić się niespodziewanie i zetknęłaś się z dokładnie taką reakcją, na jaką liczyłaś.

Zamknęła oczy.

- Nie jarzyłam, co będziecie w stanie zrobić, żeby mnie wydostać. Nie spodziewałam się, że wtańcuję prosto na rycerskiego młodzianka, który zrobi z siebie zakładnika, żeby mnie ratować. Jej ton ujął słowo "rycerski" w lekki cudzysłów, pozbawił je kłów, obrócił w żart... ale pozbawiony goryczy.

- I to właśnie jest prawdziwy powód, dla którego odmawiasz wyjaśnień, prawda? - ciągnąłem podniesiony na duchu. - Dlatego mówisz w tym śmiesznym dialekcie, choć zademonstrowałaś już, że potrafisz go porzucić, kiedy tylko zechcesz. Nie chodzi ci o wynegocjowanie powrotu do tańca. Chcesz tego uniknąć. Szukasz drogi wyjścia. Jakiegokolwiek.

- Nie ma żadnej.

- Po prostu powiedz im, że odmawiasz!

- Nie mogę. To by zniszczyło przedstawienie.

- No i co z tego? Jeśli tegoroczny Balet szlag trafi, będzie to poważnym ciosem dla Vlhaniań, ale za rok zaczną od nowa. O co naprawdę toczy się gra, Isadoro? Dlaczego tak bardzo chcesz wrócić?

- Nie jarzysz, o co chodzi.

- Wiesz, że... jarzę... wystarczająco wiele, by wiedzieć, kiedy są wściekli, kiedy się boją, kiedy są tak zdesperowani, że nie wiedzą, co robić... i, co najważniejsze, kiedy się powstrzymują przed atakiem. Mogliby nas wykończyć już parę godzin temu, ale nie chcą nam zrobić krzywdy. Nie chcą skrzywdzić nikogo... ale mimo to nie cofną się przed zmiążdżeniem nas, by odzyskać cię. O co tu chodzi, Isadoro? Co jest w tobie takiego szczególnego, że nie mogą po prostu zastąpić cię jednym ze swoich? I co jest takiego szczególnego w nich, że nie możesz po prostu im odmówić?

Zapadła cisza tak głęboka, że niemal słyszałem wiercącego się nerwowo za drzwiami Oskara... a może nawet to, jak Dhiju sprawdza rozkład zajęć i

Castro Adam-Troy - Zalobny marsz Marionetek(txt)

pyta, gdzie się do licha podziałem... warto jednak było zaczekać. w oczach Isadory pojawił się nagły błysk. Spojrzała na swoje delikatnie ukształtowane palce.

- Alex... czy kiedykolwiek marzyłeś o czymś tak długo i tak gorąco, że po prostu musiałeś to mieć... nawet jeśli nie byłeś do końca pewien, że tego właśnie chcesz?

Czekałem dalej.

Nadal nie patrzyła na mnie.

- Jeśli wszystko ci powiem, to czy pozwolicie mi wrócić do Baletu?

- Może tak, a może nie... ale tak czy inaczej pomożesz ocalić od tragedii wielu niewinnych ludzi.

Usiadła. Ten zwyczajny ruch wydawał się czymś olśniewającym dzięki gracji i precyzji, z jaką go wykonała. Kiedy zwykły człowiek podnosi się z pozycji siedzącej, przesuwa się jego środek ciężkości, mięśnie przystępują do działania i nastaje niebezpieczna chwila utraty równowagi. Ludzie na ogół tego nie zauważają... chyba że widzieli Isadorę, która po prostu prześlizgiwała się z jednej pozycji do drugiej. Dziewczyna potarła grzbiet nosa, uśmiechnęła się smutno i po raz kolejny przemówiła bez śladu silnego akcentu, za pomocą którego definiowała siebie wobec mnie.

- Alex... muszę przyznać, że wiesz, za które sznurki pociągać.

Wstałem z klęczek i usiadłem obok niej.

- To przydatna umiejętność na planecie Marionetek.

Zachnęła się.

- To też ma być w dwudziestu pięciu słowach albo mniej?

- Nie musisz się ograniczać.

- Gdy miałam osiem lat, mieszkałam w domu wuja. Przyznano mu opiekę nade mną, do czasu... no więc, tam, skąd pochodzę, istnieje cały prawniczy słownik dotyczący takich spraw. Nie muszę ci tego wszystkiego opowiadać. Właśnie ukazała się relacja Steinhoffa z Baletu w pięćdziesiątym siódmym. Podłączyłam się pod neurotransmitter, nastawiając sygnał tak słabo, że mogłam zwracać uwagę na pozostałych domowników... nie uznaję pełnego dostępu, bo zawsze czułam potrzebę, żeby wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. Wuj i jego żona też byli podłączeni, również na słabym sygnale, bo oni zawsze lubili rozmawiać o wszystkim, co widzą. Wuj wyklepał coś z hytexu na temat tego, że Vlhanianie są strasznie mroczni i tajemniczy, a ich umysły tak obce i nieprzeniknione, że żaden człowiek nigdy ich nie pojmie. To był jeden z tych frazesów, które ludzie uczą się powtarzać, by mogli się uważać za okropnie bystrych, choć w rzeczywistości nigdy nie powstała im w głowie oryginalna myśl. A ja miałam osiem lat... oczarowało mnie to, co widziałam... i już wtedy rozumiałam, że wuj plecie od rzeczy. Rozumiesz, to było trzecie nagranie, które oglądałam w ostatnich miesiącach... i zaczynałam już pojmować, o co chodzi Vlhaniom. Przełknęłam ślinę.

- Jak to możliwe?

- Bzykać to, nie mam pojęcia. Może po prostu jestem odmieńcem, który wizualizuje wszystko w nietypowy sposób, postrzega świat bardziej jak Vlhaniin niż jak człowiek... a może byłam podatnym na wpływy dzieckiem i ich przekaz jakoś do mnie dotarł. Niewykluczone nawet, że to kwestia talentu... czegoś, co przekracza granice gatunku i pozwala mi zrozumieć, podczas gdy ty, Dhiju i mój wuj widzicie tylko tańczące robaczki. No, ale mniejsza z tym. Ważne, że dostrzegłam pewien maleńki aspekt Baletu wyraźniej niż Vlhanianie. To było coś, czego oni nawet nie zauważyli... co czyniło ich Balet nieprawdziwym, i tylko ja wiedziałam, jak go naprawić. - Ujęła mnie za rękę i uściśnęła ją mocno. - Nie potrafię tego opisać, Alex. To było tak, jakbym... usłyszała jedną fałszywą nutę w najgenialniejszej symfonii, jaką kiedykolwiek napisano... i zdałam sobie sprawę, że tylko ja wiem, jak ją zastąpić. Tej samej nocy wymknęłam się przez okno i uciekłam z domu; musiałam dotrzeć na Vlhani.

Odwzajemniłem jej uścisk. Dłoń Isadory wydawała się w dotyku całkowicie ludzka. w ogóle nie wyczuwałem ukrytego pod skórą plastiku i skomplikowanych obwodów.

- Miałaś osiem lat. Jak daleko mogłaś zawędrować?

- Tak daleko, jak było to konieczne. Nadal nic nie rozumiesz. Nie byłam już ośmioletnią dziewczynką. Ta część mnie, która była dzieckiem, umarła. Jej miejsce zajęła głodna, spragniona istota, która ma... obowiązek. - westchnęła. - Nie muszę ci opowiadać, jakie ryzyko musiałam podejmować, ile praw złamałam, na jakie... kontrakty... musiałam się godzić, by dostać to, co było mi potrzebne, nim jednak minęły dwa lata, miałam już

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

prymitywne wersje wszystkich tych udoskonaleń... a przed upływem czterech dotarłam na Vlhane i porozmawiałam z pajakami, a one zrozumiały, że mam rację, i oznajmiły mi, że gdy nadejdzie czas, by włączyć moje pomysły do Baletu, będę musiała zatańczyć z nimi osobiście. Wiedziałam o tym od samego początku.

- Ale nie jesteś jedną z nich. Bez względu na wszystkie szalone modyfikacje, jakie sobie sprawiłaś, nie potrafisz poruszać się tak jak one.

Zmarszczyła nos.

- Może i tak. Ale to nie ma znaczenia. Nie rozumiesz? Sztuka to nie tylko technika, w każdej kulturze... to również treść. Chodzi o to, by rozumieć nie tylko jak, lecz również co chce się wyrazić. Choć mogę nie wiedzieć wszystkiego, co wiedzą Vlhanianie... dostrzegli, że mam im coś do zaoferowania. Do tej pory nawet nie zdawali sobie sprawy, że tego potrzebują. Odtąd poświęciłam się przygotowaniom do tej chwili.

- Do śmierci.

- Wydaje ci się, że nie mam wątpliwości? Że szczerze, autentycznie pragnę umrzeć? Chciałabym mieć własne życie. To wszystko, co mają inni ludzie. Nie pozostawiono mi jednak wyboru. To mój obowiązek. Muszę to zrobić.

- Nie musisz! A gdybym powiedział, że Vlhanianie nie mają prawa żądać tego od ciebie? Że jesteś ważniejsza niż ich Balet? Że będą musieli jakoś sobie poradzić bez ciebie i za rok spróbować znowu?

- Udowodniłbyś, że nic nie rozumiesz - odparła. - Przypomnij sobie powidok...

Być może winna była cała ta obłąkana sytuacja albo wspomnienie owej krótkiej chwili w amfiteatrze, gdy wyczułem, choć w niewielkim stopniu, jak bardzo liczą na nią Marionetki, a może był to moment prawdziwej telepatii... tak czy inaczej, mój świat przewrócił się nagle do góry nogami i zrozumiałem, co próbuje mi przekazać Isadora. Zauważyła, że ujrzałem światło, i z jej oczami wydarzyło się coś niezmiernie tragicznego: wypełniła je świeża nadzieja, której niekoniecznie pragnęła. Znowu uściśnęła moją dłoń, tym razem tak mocno, że przekroczyła próg bólu. Właściwie to mi nie przeszkadzało.

- Może... - zacząłem.

To było wszystko, co zdążyłem powiedzieć.

10. Mogła nas poinformować, że zaczyna nam brakować czasu. Mogła nam wytłumaczyć, że Vlhanianie mają coś w rodzaju kalendarza. Nie jest to pisany kalendarz, ponieważ nie znają pisma. Prowadzą go cały czas na bieżąco, kierując się upływem pór roku i ruchem gwiazd na niebie. Mogła nam powiedzieć, że przywiązują do takich spraw niemal astrologiczne znaczenie, zwłaszcza jeśli chodzi o Balet, i że choć w ich opinii można go odłożyć o jeden albo dwa miejscowe dni, to jeśli pozwolą na dłuższą zwłokę, wszystko będzie stracone. Jestem pewien, że o wszystkim wiedziała. Znała Vlhanianie lepiej niż ktokolwiek inny.

Niektórzy z ludzi przybyłych tu po katastrofie twierdzili, że Isadora praktycznie zamordowała wszystkich, którzy zginęli. Byli w błędzie. Rzecz w tym, że znała również nas i wiedziała, że z pewnością byśmy jej nie wysłuchali, tak jak nie wysłuchaliśmy Hurr'potha, który już na początku radził zostawić ją w spokoju. Myślę jednak, że nawet ona nie spodziewała się, iż atak nastąpi tak szybko. W przeciwnym razie może usilniej starałaby się nas ostrzec...

Tak czy inaczej, nie musieliśmy nawet wyglądać na zewnątrz, by się zorientować, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Ściany i podłogi trzęsły się tak mocno, że kojarzyło mi się to z szarżą kawalerii. Bezskutecznie usiłowały nas osłonić przed dobiegającymi z zewnątrz odgłosami ataku: krzykami, dźwiękiem przelatujących nisko śmigaczy, hukiem pękających murów oraz dudniącym łoskotem niezliczonych tysięcy ciężkich, metalicznych biczów wybijających dziury w ziemi. Krzyknąłem głośno, zadając najgłupsze z możliwych pytań:

- Oskar! Co tam się dzieje?

Głos, który wydobył się z interkomu, przepełniała panika:

- Nie wiem... słyszę...

Znalazłem gdzieś przytomność umysłu potrzebną, by właściwie sformułować pytanie.

- Oskar! Czy pająki atakują?

Zawyła syrena; nasz system alarmowy, zamontowany raczej dla zasady, a nie dlatego, że ktokolwiek oczekiwał, iż może być nam kiedyś potrzebny. W porównaniu z nią głos Oskara wydawał się blaszany i odległy.

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

- Tak. Tak, Alex, chyba tak.
- Cholera! - rzuciłem z pasją.
- Musimy ich zawiadomić, że wrócę do Baletu - odezwała się Isadora.
- Do diabła z tym! - warknąłem. - Dobra, Oskar, nigdzie nie odchodź.
Wypuść nas za dwie minuty. I trzymaj wąż w pogotowiu. Możesz potrzebować tej piany.
Gdzieś niedaleko coś metalowego - zapewne śmigacz - rozleciało się na kawałki tak gwałtownie, że huk zagłuszył wszystkie inne dźwięki we wszechświecie. Cisza, która potem nastąpiła, była jedną z tych absolutnie bezgłośnych przerw, które zdarzają się niekiedy nawet pośród totalnego zniszczenia. Nie oznaczają jego końca, lecz po prostu służą jako znaki ujmujące w nawias wszystko, co wydarzy się później. Gdy Oskar ponownie się odezwał, hałas powrócił i musiałem wyteżać słuch, by usłyszeć jego głos.
- Nie masz co się spieszyć. Na pewno nie wyjdę stąd sam.
Zwróciłem się do Isadory:
- Raz już przeprowadziłaś mnie przez tłum Vlhianian. Będziesz musiała zrobić to ponownie.
- To była zupełnie inna sytuacja, Alex - sprzeciwiła się oszołomiona. - Balet został wyreżyserowany. Znałam każdy ruch i potrafiłam przewidzieć, w którym miejscu znajdą się Vlhianie. Teraz jest chaos. Tysiące oszalałych, spanikowanych osobników. Będę wiedziała prawie tak mało co ty. Jeśli nie powiem im, że zabierasz mnie z powrotem do Baletu...
- Okłam ich.
- W ich języku nie da się kłamać. On jest jak... sam to powiedziałaś, holograficzny system obrazowania, odtwarzający ich wizję świata. Żeby skłamać, musiałabym...
- To przynajmniej powiedz im, żeby zeszli nam z drogi, gdy będziemy przechodzili obok nich.
- Nie wiem, czy wszyscy mnie wysłuchają. Niektórzy z nich z pewnością są bliscy obłędu z żalu. Jedni będą chcieli zaciągnąć mnie do Baletu siłą, a inni będą mnie nienawidzili tak bardzo, że spróbują się przepychać jeden przez drugiego, żeby mnie zabić. Nie wiem, czy...
Złapałem ją za ramię.
- Isadoro. Dość już wymówek. Czy potrafisz chociaż doprowadzić nas do śmigacza, żebyśmy mogli wystartować?
Wytrzeszczyła oczy zdumiona.
- Tylko nas dwoje?
- I Oskara. I każdego, kogo zdołamy uratować. Dasz radę to zrobić?
Przez krótką, straszliwą chwilę sądziłem, że zażąda w zamian pozwolenia na powrót do Baletu. wydawało mi się, że naprawdę nie obchodzi jej życie nas wszystkich ani w ogóle nic poza przeznaczeniem, które sama sobie wybrała, i że wykorzysta tę sposobność, by szantażem zmusić nas do spełnienia swych pragnień. Spodziewałem się tego. Czekałem na to.
Przymrużyła powieki.
- Mogę spróbować - rzuciła.
Kazałem Oskarowi odwrócić biegunowość pola i rzuciliśmy się do ucieczki.
11. I Oskar, i na nie mieliśmy czasu przywdziać biczopręży, gdy jednak opuściliśmy budynek, przekonaliśmy się, że i tak na nic by się nam nie zdały.
Teren ambasady należał do Vlhianian.
Kilkunastu zaatakowało budynek sypialny. Czterech wskoczyło na dach i wybijało w nim dziury seriami uderzeń długich biczów. Pozostali powytłukiwali okna i sięgali teraz do środka. Jeden z nich wyciągnął na zewnątrz coś szkarłatnego i poszarpanego, co jeszcze przed chwilą było człowiekiem.
Inny pajak zatrzymał się nad Fosterem Simmonsem i Kathy Ng, wirując tak szybko, że jego bicze zmieniły się w przejrzystą szarą zasłonę, za którą klęczeli zakrwawieni, krzyczący głośno więźniowie. Nie wyglądało na to, by pajak miał wielką ochotę zacisnąć klatkę i pokroić ich na plasterki, z pewnością jednak próbowali się wydostać na wolność, gdyż odcięta ręka Foster'a leżała w odległości zaledwie kilku stóp od niego. Jego biczoprężą zawodziła "ratunku boli ratunku boli", nic to jednak nie dawało. Nie widziałem, czy Kathy również jest ranna.
Rory Metcalf i garstka innych zdołali się dostać do jednego ze śmigaczy i wystartować, lecz trzej zakotwiczeni w ziemi Vlhianie unieśli bicze i owinęli je wokół kadłuba maszyny. Pojazd zawisł w powietrzu, kołyszac się z boku na bok w daremnej próbie wyrwania się na wolność. Rory okładała jeden z biczów gołymi rękami. Na moich oczach śmigacz szarpnął się

Castro Adam-Troy - Zalobny marsz Marionetek(txt)

gwałtownie i natychmiast został ściągnięty z powrotem. Tęga postać, w której rozpoznałem Wesleya Harrisa, wypadła z maszyny i runęła ciężko na ziemię.

Ambasador Dhiju włókł się na chwiejnych nogach przez scenę rzezi. Był wyraźnie wstrząśnięty, choć nie odniósł żadnych obrażeń poza świeżym siniakiem na czole i płytką raną na ramieniu. Szedł zupełnie na oślep, nawet nie próbując omijać kroczących po podwórku Marionetek. Choć one również nie starały się go unikać, ich długie, węzowe bicz smagały ziemię wszędzie wokół niego, ale ani razu go nie dotknęły. Gdy podszedłem tak blisko, że mogłem złapać go za rękę, spojrzałem mu prosto w oczy i rozgryzłem jego tajemnicę. To był fart naćpanych. Próbując złagodzić ból wywołany z pewnością największą klęską w życiu, wprowadził do organizmu tak wiele rekreacyjnych farmaceutyków, że po prostu nie widział nic nadzwyczajnego w otaczającym go chaosie. Musiałem trzykrotnie wykrzykiwać jego nazwisko, nim wreszcie je rozpoznał i poszedł za nami.

Nagle zaatakowała mnie dziesięciobiczowa Marionetka. Fala zimna obaliła mnie na plecy. Padłem na ziemię z ramionami pokrytymi plamami kriopiany odbierającej czucie. Obcy również się przewrócił. Cztery bicz miał sparalizowane, lecz pozostałe nie przestawały uderzać. Oskar gapił się na niego, nie mogąc uwierzyć, że to on go powalił. Ujrzałem kątem oka, że budynek sypialny zawalił się, zobaczyłem, że Isadora gorączkowo wymachuje kończynami w powietrzu, a potem zauważyłem srebrzysty błysk zaparkowanych za kantyną śmigaczy. Drogę do tego świętego graala blokowało nam kilku Vlhianian, był to jednak kierunek równie dobry jak każdy inny. Szarpnąłem mamroczącego coś pod nosem Dhiju, by usunąć go z zasięgu najbliższej Marionetki.

- Tam! - wrzasnąłem i wszyscy rzuciliśmy się do biegu.

Nim zdążyliśmy dotrzeć na miejsce, Marionetce, która uczepiła się śmigacza Rory, udało się odwrócić maszynę do góry dnem i zrzucić kobietę na ziemię. Sześciu innych kontraktowych pracowników upadło dalej, poza zasięgiem witek. Niektórzy z nich byli ranni. Odwróciłem się błyskawicznie i zobaczyłem, że uderzający gwałtownie bicz odrzucił Rory na bok. Podniosła się utykając. Jedną ręką trzymała się za żebra. Trzej Vlhianianie puścili teraz już pusty śmigacz (który pomknął za krawędź płaskowyżu i uderzył z pełną prędkością w kolejną falę nadciągających tubylców) i ruszyli na nią. Usłyszałem jej krzyk. Trzej niedawno przybyli na planetę kontraktowi pracownicy, którym do tej pory udało się uniknąć śmierci, ran lub uwięzienia, opanowali w jakiś sposób panikę i pomknęli w stronę zaatakowanej kobiety. Jeden z nich runął natychmiast na ziemię. Nie zdążyłem zauważyć, co stało się z Rory i z pozostałymi, gdyż wtedy właśnie złapał mnie wielki vlhański samiec.

Nie pierwszy już raz Marionetka unosiła mnie w powietrzu. W normalnych warunkach były to spokojne, wesołe istoty i niektóre z nich lubiły podnosić ludzika pomocą biczów, by powiedzieć im w ten sposób "cześć". Zawsze przedtem uprzedzały nas o swych intencjach, zawsze wykazywały się delikatnością i zrozumieniem kruchości ludzkiego ciała. Tym razem było inaczej. Tubylec owinął mnie biczem od tyłu i uniósł w górę ruchem tak gwałtownym, że aż przesunęły mi się kręgi. Nim zdążyłem się zorientować, że mnie schwytał, byłem już w górze i kręciłem się tak prędko, że wszystko, teren ambasady, ludzie i szalejące Marionetki zmieniło się w plamy koloru. Gdy bicz zacisnął mi się wokół brzucha, wyciskając ze mnie powietrze przez otwarte usta, zrozumiałem, że za chwilę zginę.

Potem świat przestał wirować, a po około trzydziestu sekundach zamęt w mojej głowie również się uspokoił. Patrzyłem, zdumiony i oszołomiony, na zdominowane słońcem niebo, które nagle obróciło się, ustępując miejsca gruntowi. Bicz odwrócił mnie w drugą stronę, by pokazać mi powód, dla którego jeszcze żyję.

Isadora.

Twarz miała zaczerwienioną, a oczy pełne desperacji.

Czoło pokrywała jej lśniąca warstewka potu zrodzonego ze strachu.

Uniesione wysoko w górę ramiona kreśliły niewiarygodne pętle i krzywe, krążąc wokół siebie w sposób, na samą myśl o którym bolała głowa.

Marionetka opuściła mnie delikatnie i postawiła na ziemi, choć w głowie nadal mi się kręciło i niemal natychmiast osunąłem się na kolana.

Vlhianianin nie tylko pełnił przy nas straż, gdy Oskar i Isadora pomagali mi się podnieść, lecz również eskortował ich, gdy prowadzili mnie i Dhiju do śmigaczy. Obaj chwialiśmy się na nogach jak pijani.

Za kantyną parkowało pięć pojazdów, lecz żaden z nich nie był nietknięty.

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

Vlhanianie obrócili trzy z nich w niekształtną masę powyginanego metalu i plastiku, z czwartego wyrwali hytex i układ napędowy, a z piątego zrobili kupę wgniecionej blachy i porozbijanych przyrządów, która wyglądała okropnie, lecz sprawiała wrażenie zdolnej utrzymać się z trudem w powietrzu. Siedzenia wyszarpnięto, zostawiając jedynie metalowe ramy. Mimo to wsiedliśmy do maszyny. Pilnujący nas Vlhanianin popatrzył na nas z góry bez wyrazu, kiwając biczami w sposób, który mógł oznaczać cokolwiek. Gdy Oskar startował, udało mi się zadać Isadorze jedno pytanie.

- Czy zapewniłaś go, że wracamy do Baletu?

Nie chciała na mnie patrzeć.

- Mówiłam ci już, że ich prawie się nie da okłamać. Za mało wiem o przyszłości, bym mogła mu to obiecać.

- W takim razie... co mu powiedziałaś?

- Że jesteś moim przyjacielem. I że, bez względu na to, co się stanie, jeśli zginiesz, nie będę tańczyła.

Oskar przeleciał nisko nad zaatakowaną ambasadą, szukając innych ludzi, których moglibyśmy uratować. Ale wszyscy, jakich zauważyliśmy, byli jednak martwi albo tak ciasno otoczeni przez Vlhanian, że nie mieliśmy szans się do nich dostać. Dostrzegłem kilku kontraktowych pracowników, którzy biegli zygakiem między szczątkami, niezgrabnie uchylając się przed śmigającymi wokół nich biczami. Widziałem kilku innych, którzy - obezwładnieni zmęczeniem bądź rozpaczą - po prostu dali za wygraną i klęczeli pośród rzezi, zdani na łaskę i niełaskę pajaków. Mniej więcej połowa ludzi, których zauważyłem, nosiła biczopręże, lecz ich małe, pozwijane liny wyglądały jak żałosny żart w porównaniu z prawdziwymi, siejącymi zniszczenie biczami.

Oskar tylko raz dostrzegł szansę, by kogoś uratować, lecz gdy spróbował zawrócić w tamtą stronę, chyba z dwadzieścia Marionetek ruszyło za nami wielkimi, sprężystymi skokami, które wyrzucały je na trzydzieści metrów w górę. Nikt z nas, być może z wyjątkiem Isadory, nie spodziewał się czegoś podobnego. Nie mieliśmy pojęcia, że w ogóle potrafia skakać. Jeden z obcych zderzył się ze śmigaczem z taką siłą, że omal nie wypadliśmy na zewnątrz, a potem rozpaczliwie próbował ucześcić się pojazdu biczami, zanim spadł na ziemię. Oskar wzniósł się na wysokość stu metrów i zatoczył szeroki łuk, oddalając się od płaskowyżu. Gdy znaleźliśmy się już poza ich zasięgiem, otarł świeżą krew ściekającą z płytkiej rany na czole i zapytał:

- I co teraz? Czy mamy dokąd lecieć?

Dhiju wyszeptał coś niezrozumiałego. Isadora i ja popatrzyliśmy na siebie. Nie spuszczaaliśmy wzroku dłużej, niż było to konieczne, wymieniając wyrzuty, przeprosiny, podziękowania, żale... i coś więcej. Żadne z nas nie chciało przerwać milczenia.

Na koniec oszczędziłem jej przynajmniej tego.

- Do amfiteatru - poleciałem.

12. Pojazd był zbyt uszkodzony, by mógł mknać z maksymalną szybkością, lecz osłona kabiny rozwinęła się na żądanie, mogliśmy więc przekroczyć prędkość dźwięku. Podróż do amfiteatru miała jednak trwać trzy godziny zamiast zwykłych czterdziestu minut. Wydawało się, że to zbyt długo, a jednocześnie za krótko.

Połączyłem się z Riirgaanami i skontaktowano mnie z Hurr'pothem. Wcale się nie zdziwiłem, że był już w powietrzu i leciał na płaskowyż z ekipą ratunkową. Zaczął przygotowania do tej akcji natychmiast po tym, jak wyciągnąłem Isadorę z Baletu. Podejrzał, co się może stać, a nawet kilkakrotnie próbował mnie ostrzegać, lecz mimo to trudno mi było dostrzec wielkoduszność w akcie jego pomocy. Kiedy żartobliwie nazwał mnie pornografem, przerwałem połączenie.

Nim minęły dwie godziny, mnie i Oskarowi zabrakło tematów do rozmowy, a Isadora podczołgała się do tylnej szyby, by gapić się bez słowa na przemykające na dole widoki. W tej sytuacji niemal się ucieszyłem, gdy do oczu Dhiju wróciła świadomość.

- N... nie zabieracie jej...

- Przykro mi, ambasadorze, ale zabieramy - odparłem ściśle kontrolowanym szeptem, nie chcąc, by Isadora mnie usłyszała.

Spróbowałem znaleźć w sobie siłę, żeby okazać oburzenie.

- wydałem wyraźny rozkaz...

- Wiem o tym. I nadal próbuję wymyślić jakiś sposób, który pozwoliłby zapobiec najgorszemu. Musimy jednak to zrobić. Nie mamy wyboru.

- To zabójcy - poskarżył się pełnym irytacji tonem. - Nie jesteśmy im nic

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

winni. Teraz, gdy już wymordowali wszystkich w ambasadzie, nie mają czym nam grozić. Nie musimy przelewać więcej krwi. Możemy zabrać ją poza planetę. Możemy ją uratować. Możemy...

- Powidok - wyszeptalem, słysząc głos Isadory zamiast własnego.

- Słucham?

- Powidok. - Gdy Dhiju nadal nic nie rozumiał, potrząsnąłem głową, jakby proste zaprzeczenie mogło wymazać wszystko, co wiedziałem. Oskar z pewnością wyczuł, że coś się dzieje, gdyż zostawił przyrządy i zajął miejsce między nami. Na jego zapadniętej, zrozpaczonej twarzy malowała się potrzeba zrozumienia. Przez chwilę nie zwracałem uwagi na niego ani nawet na Dhiju. Poraziła mnie skala wydarzeń. Nie potrafiłem znaleźć miejsca dla innych we wszechświecie, który nagle zmienił całkowicie postać. - Nie możemy nawet mieć do nich pretensji - ciągnąłem nieobecny głosem. - Byli przekonani, że stracą wszystko. Musieli ulec obłędowi.

- To nie ma sensu - poskarżył się Dhiju.

Isadora nie odwróciła się nawet wtedy, nie musiała jednak tego robić.

Wiedziałem, że nas słucha. Potrząsnąłem głową, by opanować szok, i zacząłem mówić z całym przekonaniem, na jakie potrafiłem się zdobyć. Moje słowa były przeznaczone dla nas wszystkich.

- Ta wiedza nie sprawiła mi radości, ambasadorze. Po tym wszystkim, co usłyszałem od Isadory i co wydarzyło się później, zacząłem jednak trochę pojmować. Dowiedziałem się, że... nie mieliśmy pojęcia, jak wielką sprawą jest dla nich Balet. Wiedzieliśmy, że ich język jest holograficzny, że malują dla siebie nawzajem obrazy. Wiedzieliśmy również, że to, co chcą wyrazić za pomocą Baletu, jest dla nich ważniejsze od własnego życia. W tych sprawach mieliśmy rację. Wydawało nam się też jednak, że każdego roku zaczyna się i kończy nowy Balet... i tu właśnie się myliliśmy. Obraz, który malują... nie jest czymś odrębnym, ambasadorze. Łączy się w ich umysłach z obrazem, który malowali w zeszłym roku... i z tym, który namalują w następnym. Wszystkie tworzą serię, którą łączy w całość powidok.

- Jak film - wychrypiał Oskar.

Dhiju zerknął przelotnie na niego, po czym spojrział mi prosto w oczy.

- I co z tego wynika?

- To, że Isadora nie może zrezygnować. Z tego samego powodu, dla którego ustąpiła, gdy położyłem na szalę własne życie. Kieruje nią poczucie obowiązku. Wie, że gdyby zrezygnowała, zniszczyłaby nie tylko jeden Balet, co byłoby wielkim szokiem dla całego gatunku, lecz pozostawiłoby mu szansę odbudowy. Nie. Unicestwiłaby wielkie, ewoluujące dzieło sztuki, które tworzyli przez większą część swej historii. Zniszczyłaby wszystko, czym byli, o czym marzyli i co kiedykolwiek starali się osiągnąć. Nie mieliby już po co żyć. Dlatego nie może zrezygnować. Musi wybierać między własnym życiem... a życiem wszystkich Vlhian w historii ich gatunku.

- Święte... - wydyszał Oskar, całkowicie zapominając dodać, co świętego ma na myśli.

Dhiju nadal milczał. Popatrzył na mnie, potem na Oskara, a w końcu na Isadorę, która nadal wyglądała przez okno, niczym nie zdradzając, że słyszy naszą rozmowę. Potem znowu spojrział na mnie.

- Przykro mi, Alex, ale to nic nie zmienia - oznajmił. - Nawet gdyby twoja teoria miała jakikolwiek związek z rzeczywistością, w co wątpię, to i tak rozkazuję ci powstrzymać tę kobietę.

Do cholery, musiał to zrozumieć.

- Jak już mówiłem, panie ambasadorze... mam zamiar spróbować. Tak samo jak pan nie chce, żeby zginęła. Ale Vlhianie...

Dhiju zagłuszył moje słowa.

- Nic mnie nie obchodzi Vlhianie! To nie moja wina, że poświęcili temu widowisku tak wiele! Nie jestem odpowiedzialny za ich obłęd, tylko za jej obłęd! Nie pozwolę jej popełnić samobójstwa! Rozkazuję ci zawrócić tego grata i poprosić o azyl w którejś z pozostałych ambasad!

- Nie mogę. Muszę zostawić sobie możliwość wyboru... na wypadek, gdyby nie było innego wyjścia.

Dhiju wytrzeszczył oczy, nie potrafiąc uwierzyć, że trzecieoroczny pracownik kontraktowy zaryzykował wszystko, osmielając się mu sprzeciwić. Wziął się w garść i zapanował nad głosem; przemawiał teraz spokojnym tonem, który można by było usłyszeć nawet podczas najpotężniejszego wybuchu.

- Alex, jeśli za pięć sekund nie wykonasz mojego rozkazu, uznam to za otwartą niesubordynację i przedłużę twój kontrakt o pięćdziesiąt lat.

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

- więc będzie pan musiał przedłużyć również mój - odezwał się Oskar. Zerknąłem na niego zdumiony. Nie spodziewałem się, że przyłączy się do mojego buntu. Liczyłem na to, że Isadora pomoże mi poradzić sobie z nimi oboma. Oskar jednak popatrzył na Dhiju ze stoicką nieustępliwością ceglanego muru, po czym wziął w rękę zbiornik kriopiany, by zademonstrować, co się wydarzy, jeśli ambasador spróbuje nam przeszkodzić. Sytuacja była zabawna. Nigdy nie lubiłem Oskara, nawet w najmniejszym stopniu. Zawsze był dla mnie jedynie kimś, z kim, chcąc nie chcąc, musiałem mieć do czynienia w pracy. Teraz jednak trudno mi było sobie przypomnieć, jakie właściwie miałem powody, żeby tak sądzić. Dhiju skinął tylko głową, nie okazując zaskoczenia. Cała siła uszła z niego niemal natychmiast. Sięgnął do kieszeni bluzy, wydobył stamtąd jedną ze swych fiolek z niebieskim płynem i przełknął go jednym haustem. Zamknął oczy, nim zdążyliśmy zauważyć przesłaniającą je mgłę i rozszerzone źrenice.

- Obaj zmarnujecie sobie resztę życia - wyszeptał.

Chciałem się sprzeciwić, lecz Oskar nie dał mi dojść do słowa.

- Nie, Alex... to uczciwe wyjście. Usuń mi się z drogi, a ja spryskam go pianą, żeby nie musiał na to patrzeć.

Po chwili zrobiłem to, o co mnie prosił. Czemu nie? Gdybym był na miejscu Dhiju, również wolałbym nie być przytomny. Gdy rozległo się bulgotanie pęcherzyków piany, temperatura w kabinie spadła o trzydzieści stopni.

13. Przez ostatnią godzinę lotu siedziałem obok Isadory. Nie odzywałem się ani słowem. Wystarczyło, że wiedziała o mojej obecności. Z pewnością nie miała ochoty poświęcić całej godziny na wyglądanie przez okno. Nie było za nim widać nic poza szeregiem zupełnie zwyczajnych wzgórz, dolin, równin i jezior, nieodróżniających się pod żadnym istotnym względem od tych, które urozmaicały krajobraz dziesięciu milionów innych światów. Niekiedy mijaliśmy niewielkie skupiska Vlhian, widocznych jako czarne kropki na brązowej ziemi. Jeśli nawet słyszeli buczenie naszego silnika i podnosili wzrok, by ujrzeć najślawniejszą osobę z tegorocznych tancerzy, Isadora wolałaby tego nie widzieć. Przez większość drogi siedziała spokojnie obok mnie. Nie była zbyt rozmowna, lecz również nie milczała przez cały czas. Dzieliła się ze mną przestrzenią i oczekiwaniem na to, co - jak oboje wiedzieliśmy - wydarzy się zbyt szybko.

Pod koniec tej godziny zapytałem ją o znaki na policzkach, choć podejrzewałem już, jaką odpowiedź usłyszę. Miałem rację. Były po prostu rozpaczliwą pamiątką z pierwszych dni jej samodzielności - dziedzictwem ośmioletniej dziewczynki, która musiała wykreować siebie na nowo, przemykając się z jednego świata na drugi. Zarówno one, jak i jej wymagany slang były pozostałościami przeszłości, jaką dla siebie wymyśliła. Przeszłości, którą mogłoby stworzyć jedynie przerażone dziecko, zmuszone przedwcześnie dorosnąć. Pomyślałem o długich godzinach poświęconych przez Rory na przetrząsanie baz danych w poszukiwaniu społeczeństwa, w którym stosowano takie rytualne tatuaże oraz posługiwano się tego rodzaju idiomami... i zadałem sobie pytanie, czy ocalała życie i będzie mogła się z tego śmiać, gdy jej o wszystkim opowiem.

Po chwili zacząłem zauważać punkty orientacyjne: formacje skalne i koryta wyschniętych rzek, które - jak pamiętałem z poprzednich podróży - leżały w pobliżu amfiteatru. Gdy Oskar wskazał usianą kraterami równinę pokrytą śladami stu tysięcy Vlhzańskich tancerzy, którzy przeszli tędy, zmierzając do miejsca, gdzie mieli umrzeć, poczułem nagły skurcz żołądka. A gdy ujrzelśmy Balet...

... widok był wspaniały jak zawsze, dziś jednak po raz pierwszy wypełnił mnie strachem.

Widziany z daleka, z dalwidzami lub bez nich, amfiteatr wyglądał jak wycięty w powierzchni planety pas, wypełniony czarnym, połyskującym morzem, które pulsowało niczym inteligentna ameba. Skóry Vlhian lśniły czerwonym blaskiem w promieniach wschodzącego słońca, nadając niecce wygląd jeziora ognia. Niegodny okruch mojej jaźni żałował, że nie mam dział plazmowych, dzięki którym mógłbym zamienić owo złudzenie w rzeczywistość.

Kiedy podlecieliśmy bliżej, zauważyliśmy, że nie wszyscy Vlhianie przebywają w amfiteatrze. Kilkuset zgromadziło się przy północnej krawędzi niecki. Ustawili się w dwa półokręgi, które oddzielało od siebie szerokie przejście, prowadzące w samo serce Baletu. Zaproszenie dla Isadory.

Na trybunie po drugiej stronie amfiteatru znowu zgromadził się tłum. Nie była wypełniona całkowicie, jako że tym razem nie było na niej ludzi i

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

tylko niewielu Riirgaan, wystarczyło to jednak, bym miał pewność, że wszystkie obce delegacje wrócijo na miejsca, by obejrzeć wznowienie Baletu. Z tej strony niecki łatwo było ich nienawidzić za to, że tak gorąco pragnęli zobaczyć to, co ja chciałem za wszelką cenę powstrzymać. Czy którykolwiek z nich będzie opłakiwał Vlhianian, którzy tu zginą? Albo Isadorę?

Oskar polecił śmigaczowi zawisnąć w powietrzu, a potem podszedł do naszego siedzenia i klęknął przed nami. Oczy miał pełne łez.

- Przemyslałem sobie to wszystko... to, co robimy... i co pozwolimy jej zrobić. Wciąż... myślałem... że musi być jakiś inny sposób. I chyba już wiem jaki.

Uśmiech Isadory był wdzięczny, lecz nie wyrażał nadziei.

- Tak?

- Możesz wystąpić przez hytex.

Jego słowa przeszyły mnie niczym prąd płynący przez kręgosłup.

- Co takiego?

- Słyszałeś - odparł Oskar. Zwrócił się w jej stronę. - Możesz odtańczyć swoją część w jakimś bezpiecznym miejscu. Zmontujemy mikroprzekaznik, który zawiesznie nad amfiteatrem i będzie przekazywał twój obraz tam, gdzie powinien się znaleźć. Będziesz mogła zrobić wszystko, co konieczne, bez potrzeby zbliżania się do Vlhianian, gdy zaczną tracić panowanie nad mięśniami.

Serce waliło mi jak szalone.

- Isodoro? Czy to mogłoby się udać?

Potrząsnęła ze smutkiem głową.

- Być może, gdyby Vlhianianie byli ludźmi. Ale ich wzrok odbiera inne długości fal.

- Możemy przestawić urządzenie! Przekazać obraz, który zobaczą! Nawet dźwięk, jeśli będzie to konieczne! Do diabła, Isodoro, wiemy znacznie więcej, niż ci się zdaje! Daj nam parę godzin, żeby wszystko przygotować, a uratujesz życie!

- Czy nie rozumiecie, jaką zniewagą by to dla nich było? Wszyscy ci Vlhianianie umrą, a ich najszacowniejszy gość ocali życie dzięki zdalnemu występowi? Nie mogłabym zadrwić z nich w taki sposób.

- Pajaki zabiły dziś wielu niewinnych ludzi - błagał ją Oskar. - Przyda im się szczypta drwiny.

- Przykro mi - odparła i pochyliła się, by go pocałować. - Proszę cię. Ja muszę wziąć udział w Baletcie. Jeśli to dla ciebie cokolwiek znaczy, proszę, wyląduj, żebyśmy mogła wreszcie z tym skończyć.

Pochylił głowę, zadrżał i wrócił do sterów.

Miałem wrażenie, że nie tyle obniżamy lot, ile ziemia podnosi się nam na spotkanie, jakby cała planeta była wielkim drapieźnikiem, a horyzont ostrymi jak brzytwa szczękami, które zamykają się nieubłaganie. Trudno mi było pamiętać, że Oskarowi, Dhiju i mnie nie grozi takie samo niebezpieczeństwo jak Isadorze. Gdybyśmy zostali w śmigaczu, pozwolili jej wysiąść i natychmiast odlecieli, jedyną połkniętą w całości osobą byłaby niezwykła, piękna kobieta, która klęczała obok mnie, przerażona, lecz pełna determinacji. Bynajmniej nie poczułem się bezpieczniej na tę myśl. Jeśli Isadora umrze, to będzie tak, jakbym sam zginął.

- Isodoro - odezwałem się, gdy byliśmy jeszcze na pewnej wysokości nad ziemią.

Oderwała wzrok od Baletu i spojrzała na mnie.

- Alex.

- Czy wszystko, co powiedziałaś temu Vlhianianinowi pod ambasadą, było prawdą?

Uśmiechnęła się smutno.

- Już ci mówiłam, że ich nie da się okłamać.

- W takim razie wysłuchaj mnie, proszę. Nie musisz tego robić. Są inne wyjścia. Możesz im wytłumaczyć...

Uściskała mnie.

- Dziękuję ci, ale nie. Muszę.

Złapała się za krawędź śmigacza i zeskoczyła lekko na ziemię.

Znajdowaliśmy się jeszcze na wysokości jakichś dwudziestu metrów, obaj z Oskarem krzyknęliśmy więc głośno, instynktownie przekonani, że się zabije. Gdy jednak wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem, że wylądowała łagodnie, pomachała do mnie ręką i pobiegła w stronę amfiteatru. Poruszała się tak samo szybko jak tubylcy i nim zdążyłem zareagować, zniknęła już w ich tłumie.

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

Ja nie byłem udoskonalony i nie miałem szans jej dogonić. Nie to było jednak moim zamiarem. Od początku wiedziałem, że będzie musiała to zrobić. Teraz przyszła kolej na mnie.

- Jezu, łąduj! - krzyknąłem do Oskara. - Muszę z nimi porozmawiać!

- Porozmawiać z... - Poderwał się nagle. - Zwariowałeś!

- Rób, co mówię! Natychmiast!

Wybrał miejsce odległe o pięćdziesiąt metrów od vlhańskich widzów.

- Nie czekaj na mnie, nic mi się nie stanie! - poleciłem mu, kiedy już wylądowaliśmy. - Wracaj do ambasady! Może uda ci się komuś pomóc!

- A... ale... co ty gadasz, nie możesz...

Wyskoczyłem z pojazdu i natychmiast zerwałem się do biegu.

Wszystkie moje instynkty buntowały się przeciw myśli o szarży na istoty, które niedawno temu widziałem ogarnięte morderczym szałem. Ta część mojego umysłu, która pozostawała zdolna do racjonalnego myślenia, wiedziała jednak, że nie grozi mi z ich strony żadne niebezpieczeństwo. Nie miały już potrzeby mnie atakować. Dostały Isadorę. Lękałem się jedynie tego, iż poznają we mnie człowieka, który raz już ją uratował, i w obawie, że uczynię to znowu, nie pozwolą mi wejść do amfiteatru.

Nie zrobiły tego. Marionetki stojące na krawędzi patrzyły obojętnie, jak biegnę drogą, którą pozostawiły dla Isadory. Śledziły mnie wzrokiem, kręcąc głowami - pozbawionymi twarzy kulami, które mogły wyrażać irytację, niesmak, litość albo nie wyrażać żadnego uczucia. Lubie sobie wyobrażać, że potrafiły się zorientować, iż działałem pod przymusem, i nie próbowały mnie powstrzymać, gdyż wiedziały, że to nic nie da.

Być może pod tym względem przypominałem im Isadorę.

Dotarłem do krawędzi niecki i ruszyłem w dół, pół biegnąc, pół spadając.

To nie było łagodne zbrocze, tak jak w miejscu, gdzie znalazłem ją poprzednio, lecz stromy, błotnisty stok. Gdyby jego nachylenie było o kilka stopni większe, można by go uznać za urwisko. Nie byłem w stanie utrzymać pionowej pozycji i jednocześnie schodzić z drogi tańczącym Vlhaniom, opadłem więc na tyłek i zacząłem zjeżdżać w dół. Ujrzałem przelotnie trybunę na południowej krawędzi zagłębienia i zadałem sobie pytanie, czy ktoś z widzów mnie zauważył i czy któregoś z nich przeszyło lekkie ukłucie grozy na myśl, że wielkie widowisko znowu zostanie przełożone. Nie dbałem o to jednak. Jedynym, co naprawdę mnie obchodziło, była Isadora, a jej nigdzie nie mogłem dostrzec.

Zatrzymałem się pośrodku morza siekających biczów. W ustach i na grzbietach dłoni miałem krew. Otaczający mnie tłum Vlhaniań był tak gęsty, że w żadnym kierunku nie sięgałem wzrokiem dalej niż na dwadzieścia metrów. Kołysali uniesionymi nad głowy biczami tak zaciekle, że ich furkot zagłuszał wszelkie inne dźwięki, nawet mój chrapliwy oddech.

Tym razem Isadora mnie stąd nie wyprowadzi.

Rzecz bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że tu przyszedłem.

Co prawda, nie rozumiałem vlhańskiego tańca (a nawet nie miałem uprząży, która pozwoliłaby mi go wykonywać), lecz bariera językowa nigdy nie usprawiedliwia rezygnacji z prób nawiązania porozumienia.

Isadora powiedziała mi: "Sztuka to nie tylko technika, w każdej kulturze... to również treść. Chodzi o to, by rozumieć nie tylko jak, lecz również co chce się wyrazić".

Dlatego wstałem, zaczerpnąłem głęboko tchu i zwróciłem się do nich w jedyny znany mi sposób. Słowami. Przemówiłem do nich za pomocą dźwięków, których nie mogli zrozumieć, licząc na to, że pojmą moje uczucia.

Namalowałem słowny obraz, który nie tylko był przeprosinami za to, że do tej pory ich nie rozumieliśmy, lecz również wyrażał żal i radość z powodu dzielących nas różnic. Przedstawiał on moich przyjaciół, którzy leżeli martwi bądź ranni w ambasadzie, mówił o tym, ile lat świetlnych pokonali tylko po to, by spotkać ich taki koniec, opowiadał o tym, że zasłużyli na lepszy los, a potem wracał do Isadory, by przekonać ich, że ona również zasłużyła na lepszy. Był to portret młodej kobiety, która wyrzekła się już dla Vlhaniań wszystkiego: domu, dzieciństwa, normalności, a teraz zapewne także życia. Przekazałem im, że bez względu na to, jak oni oceniają podobne sprawy, było to poświęcenie i tylko oni byli władni ją powstrzymać. Na koniec opowiedziałem im, jaka jest piękna na swój sposób, równie piękna, jak ich Balet, i że jest dla mnie bardzo ważne, by nadal żyła, gdy ostatni tańczący Vlhaniań padnie już na zdeptaną ziemię.

Nigdy w życiu nie przemawiałem tak długo ani z taką elokwencją.

Gdyby rozumieli nasz język, złamałbym im serca.

Choć jednak przelałem w słowa wszystko, co w sobie miałem, wiedziałem, że

Castro Adam-Troy - Zalobny marsz Marionetek(txt)

dla nich jest to jedynie czcze ujadanie małego, hałaśliwego stworzonka. Otaczali mnie, w ogóle nie reagując na moją obecność. Ich wielkie kuliste głowy kołysały się niczym zabawki.

Gdy w końcu zabrakło mi sił, nie mogłem już dłużej błagać i nie przychodziło mi do głowy nic, czego bym już kilka razy nie powiedział, jeden z Vlhianian zbliżył się do mnie. Poruszał się z taką gracją, że wydawało się, iż jego bicz niemal nie dotykają ziemi. Opuścił jedną z witek, owinał ją delikatnie wokół mojego nadgarstka i uniósł mnie na wysokość swej głowy. Odnosiłem wrażenie, że skierował na mnie oczy, mimo że Vlhianianie ich nie mają. Po prostu obrócił się w jedną stronę, a potem w drugą. Ten ruch nie wyrażał żadnego uczucia. Wyciągnąłem odruchowo rękę i przyłożyłem dłoń do jego chłodnej, gładkiej powierzchni, myśląc o pracującym wewnątrz obcym mózgu. Co o mnie myślał? Czy uważał, że jestem dziwny? Pozbawiony wdzięku? Brzydki albo piękny?

Podał mnie następnemu Vlhianianinowi, który stał wyżej na stoku, ten zaś z kolei trzeciemu i tak dalej. Po chwili dotarłem do tubylców stojących na północnej krawędzi niecki, którzy postawili mnie delikatnie na ziemi i otoczyli ciasnym kręgiem, by mieć pewność, że nie spróbuję wrócić do amfiteatru.

Nie musieli się trudzić. Nie miałem takiego zamiaru.

Nie mogłem już zrobić nic więcej.

14. Po wielu godzinach z południa nadleciał riirgański krążownik, który zatoczył nade mną krąg i wylądował nieopodal na ubitej ziemi. Vlhianianie, którzy przyszli obejrzeć Balet, kłębili się wokół nas, uważając, by na mnie nie nadebrać ani w żaden sposób nie przeszkadzać latającej maszynie. Na jej pokładzie znajdowali się Rory i Oskar, oboje zapłakani i wykończeni. Pomachali do mnie słabo rękami, a Hurr'poth przeskoczył przez burtę, podszedł do mnie i - zginając kończyny w sposób, który dla Riirgaanina musiał być niewygodny i bolesny - uklęknął u mojego boku. Jego twarz jak zwykle nic nie wyrażała, lecz w spojrzeniu dostrzegałem niepewność, troskę i rzadki u niego szacunek.

- Alex - odezwał się po chwili.

- Ilu zginęło? - zapytałem.

- Vlhianian czy ludzi?

Nie byłem w tej chwili skłonny przejmować się Vlhianianami.

- Wiesz, że chodzi mi o ludzi!

- Siedemnastu. Mniej więcej połowa waszej delegacji. Foster Simmons, Li-Hsin Chang, Kathy Ng... - Umiłkł, gdy zauważył, że przy każdym kolejnym nazwisku krzywię się z bólu. - Mogło być znacznie gorzej. Blisko połowa ocalała.

- A Isadora?

Położył mi na ramieniu gadzią dłoń.

- Nie.

A więc jednak nie udało mi się dokonać niewiarygodnego cudu. Przez wszystkie te godziny wmawiałem sobie, że być może mi się powiodło.

Myślałem o jej oczach, o tym, jak się poruszała, i że to ja zawiozłem ją na miejsce śmierci. Nie podnosiłem się z klęczek. Ramiona mi drżały, w głowie się kręciło, a uszy wypełniał mi szum wiatru oraz łoskot serca walącego niczym młot spadowy.

- Alex - odezwał się po raz drugi Hurr'poth.

- Słucham.

Nie chciałem na niego patrzeć.

- Nie wiem, czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie... ale wszyscy widzowie ujrzeli, co próbowałeś dla niej zrobić. Co dla niej zrobiłeś. Widziały to wszystkie delegacje... a wkrótce, dzięki holokamerom i neurotransmitterom, ujrzą to również ich światy.

Zacisnąłem powieki jeszcze mocniej. Tego tylko było mi trzeba. Największa klęska, jaką poniosłem w życiu, stanie się widowiskiem dla całego wszechświata.

- I?

- I - odparł - nie tylko Isadora i Vlhianianie tańczyli dzisiaj pięknie.

Wstał i wrócił do krążownika, zostawiając mnie sam na sam ze swymi słowami.

Ani on, ani Rory i Oskar nie próbowali mnie popędzać.

Po jakimś czasie wstałem z klęczek i poszedłem do nich. Nie dlatego, że zaakceptowałem to, co miał mi do powiedzenia Hurr'poth, lecz dlatego, że przedstawienie się skończyło i wykonawcy musieli już wracać do domu.

15. Riirgaanie zaoferowali Oskarowi i mnie obywatelstwo oraz immunitet

Castro Adam-Troy - Żalobny marsz Marionetek(txt)

dyplomatyczny. Oskar przyjął tę propozycję, ja zaś nie. On wrócił do domu, prawnie uznany za Obcego, mnie czekał proces. Przedłużono mój kontrakt o dwadzieścia lat i wysłano mnie na cuchnące, pokryte lawą zadupie znane jako Nowy Pylthothus. Gniłbym tam do dzisiaj, gdyby po dwóch latach nie udało mi się prysnąć. Od tego czasu oficjalnie jestem uważany za zbiega. Nie mam zamiaru zdradzić wam, gdzie przebywam, w jaki sposób zmieniłem swój wygląd ani jakiego nazwiska obecnie używam. Mam przyjaciół i rodzinę. Można powiedzieć, że jestem szczęśliwy. Nie skarzę się na swój los. Konfederacja próbowała zakazać rozpowszechniania holofilmów z tego Baletu, lecz gdy fala gniewu wywołanego przemocą wobec naszej delegacji osłabła, stały się one największym od stuleci komercyjnym sukcesem w całym przemyśle rozrywkowym. Z ich powodu zainteresowanie Vlhzańskim Baletem dla bilionów ludzi stało się obsesją. Nawet zdecydowana większość, która nadal nie rozumiała, co chcą przekazać Marionetki, musiała przyznać, że w jakiś nieokreślony sposób, który łatwiej było wyczuć niż zrozumieć, Isadora podniosła ich Balet na nowy, wyższy poziom. Niektórzy napomkali bez przekonania o środkach odwetowych i "trwałym" wycofaniu ambasady, lecz po pięciu standardowych latach trzy czynniki - nowy rząd, typowa dla ludzkości krótka pamięć oraz niewyczerpany popyt na nowe nagrania, nadal sporządzane przez inne ambasady i rozprowadzane na czarnym rynku - spowodowały, że na ruinach starej wzniesiono nową placówkę. Jak rozumiem, jest ona znacznie lepiej uzbrojona od naszej, choć jej kontraktowi pracownicy nie byli jak dotąd zmuszeni tego dowieść. Ludzie uwielbiają snuć spekulacje na temat tego, kim była i skąd pochodziła Isadora. Sto różnych światów ogłosiło, że na nich właśnie się urodziła, lecz w większości przypadków ich argumenty nie są zbyt przekonujące. Z całą pewnością wiem jedno: jeśli kiedykolwiek poznam nazwę jej rodzinnej planety, nie będę czuł potrzeby, żeby tam się udać. To miejsce nie ma nic wspólnego z Isadorą. W jej ślady próbowało pójść blisko trzy tysiące młodych ludzi. Zdecydowanej większości nie udało się nawet opuścić ojczystych światów. Byli marzycielami, którzy pragnęli stać się kimś szczególnym, gotowymi na wszystko, by imitować kogoś, komu się to udało. Ściągnęli na siebie zgubę albo znaleźli sobie jakiś inny wzór do naśladowania. Nieliczni naprawdę zdołali zdobyć gdzieś udoskonalenia, które z reguły były jedynie bładą namiastką tych, które miała Isadora. Odebrały im one człowieczeństwo, nie dając w zamian nic istotnego. Bardzo niewielu - cztery kobiety i dwóch mężczyzn - dotarło na Vlhaz, wzięło udział w Balecte i zginęło. Oni również zrozumieli drobne elementy przedstawienia, lecz ich nazwiska zostały zapomniane. Nikt nie pamięta o nich, tak jak ludzie pamiętają o Isadorze. Sam nie wiem. Słyszałem, że to, co Vlhazianie przekazują w swym wielkim, śmiertelnośnym Balecte, jest piękne, głębokie i pełne znaczenia. Że warto dla tego czegoś umrzeć. Z drugiej strony, nie warto dla tego czegoś patrzeć, jak giną bliscy nam ludzie... i osobiście nie mam już najmniejszej ochoty odcyfrowywać owego przekazu. Dlatego właśnie nigdy nie widziałem Baletu Isadory. Nie chciałem na niego patrzeć na Vlhazie i nie obejrzałem też holofilmów ani neurotransmisji. Nie byłbym w stanie gapić się obsesyjnie raz za razem na swe sławne, skazane na klęskę błaganie ani na równie słynną, natchnioną chwilę, gdy padła. Zadowolam się wspomnieniem owej chwili na podwórzu ambasady, kiedy zatańczyła, by uratować mi życie. W przeciwieństwie do Baletu, który poddali drobiazgowej analizie eksperci w całym znanym wszechświecie, ten występ nie został uwieczniony. Nie ma holofilmów, neurotransmisji ani hytexowych analiz dzielących go na maleńkie, milisekundowe fragmenty. Oskara oślepiła zalewająca oczy krew, a oszołomiony Dhiju leżał na plecach z rozwartymi szeroko ustami, naćpany tak bardzo, że żadne sztuczne wzmacniacze pamięci nigdy nie oddziela prawdziwych wydarzeń od halucynacji zrodzonych w jego umyśle. Ja natomiast zobaczyłem tylko dziesięć ostatnich sekund. Zrozumiałem jednak wszystko. Każdy niuans. Gdy potem przekazała mi treść w ludzkich słowach, nie wyznała całej prawdy o tym, co znaczył jej taniec. To, co naprawdę powiedziała Vlhazianinowi, jest dla mnie jedynym źródłem ciepła we wszechświecie, który wydaje mi się dziś ciemny, pusty i zimny.

KONIEC

Przełożył Michał Jakuszewski